HITLER W KROŚNIE. CZY DOSZŁO DO PRÓBY ZAMACHU?

ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NR 4 (231) KWIECIEŃ 2018 CENA 14,70 ZŁ (W TYM VAT 5%) NAKŁAD 12 100

70 LAT WSTECZ, 25 M W GŁĄB...

PODZIEMIA LUBANIA OKIEM KAMERY: CO KRYJĄ NAZISTOWSKIE SZTOLNIE?

> TAJEMNICZE KRYSZTAŁKI. HISTORIA (NIE)DOPOWIEDZIANA

> ZŁOTO BYDGOSZCZY. KULISY ODKRYCIA

www.odkrywca.pl

SPIS TREŚCI

ODKRYCIA I POSZUKIWANIA

4 ZAJRZEĆ DO WNĘTRZA GÓRY...
PIOTR MASZKOWSKI

10 MONETY I GROBY Z BYDGOSKIEJ KATEDRY
MACIEJ KULESZA

16 TAJEMNICZE KRYSZTAŁKI WRACAJĄ DO GRY...!
PIOTR KUCZNIR

22 CO SIĘ STAŁO Z PAŁACEM W RASZOWEJ?
ROMUALD OWCZAREK

28 MUZEUM NIE TYLKO ORĘŻA...
ALEKSANDER OSTASZ

32 NA RUBIEŻACH „RIESE"
RAFAŁ JANUSZKIEWICZ

36 SZCZOTECZKA DO ZĘBÓW
MAŁGORZATA JARACZEWSKA

100 LAT NIEPODLEGŁOŚCI

40 W NIEWOLI U BRATANKÓW
PIOTR GALIK

KULISY HISTORII

46 HITLER W KROŚNIE
STANISŁAW FRYC

50 OSTATNIE STRZAŁY POD ZAMKIEM GRODNO
MACIEJ SZCZEREPA

KOLEKCJONERSTWO

56 DUFFLE COAT
BARTŁOMIEJ BŁASZKOWSKI

FORTYFIKACJE

62 SCHRONY WĘZŁÓW ŁĄCZNOŚCI KOLEJOWEJ BASA
BOGUSŁAW MUSIELAK

FELIETON

70 UROBOROS
RADOSŁAW BICZAK

71 **KSIĘGARNIA „ODKRYWCY"**
NOWOŚCI KWIETNIA

10

36

46

56

ZAJRZEĆ DO WNĘTRZA GÓRY...

PIOTR MASZKOWSKI

W marcu br. udało się, dzięki przeprowadzonym odwiertom, wprowadzić kamery do wnętrza podziemnego schronu pod Kamienną Górą w Lubaniu. Oto szczegóły tej operacji.

Eksploracja to często niewdzięczne zajęcie, zwłaszcza gdy jest zawodową codziennością. Nieskończona liczba tzw. weryfikacji negatywnych przeważnie wyklucza tropy potencjalnie istniejących podziemi czy ukrytych depozytów. Ślady prowadzące donikąd zdarzają się bowiem wiele razy. Jednak magia poszukiwań, ich aura, klimat i atmosfera odkrywania tajemnic, a także głód wiedzy są silniejsze od zniechęcenia. Pozwalają przetrwać trudne chwile i podejmować kolejne wyzwania. Aby się jednak o tym przekonać, potrzeba dużo pracy. Jej efekt, który dla odbiorcy jest później gorącym newsem, żyjącym w mediach najwyżej kilka dni, to często wynik wielomiesięcznych, a czasem i kilkuletnich działań kilku, kilkunastu osób.

Właśnie tak było w przypadku przebiegu badań do niedawna tajemniczych podziemi, wewnątrz rozpościerającego się nad Lubaniem wzgórza Kamienna Góra.

Na pograniczu legendy

Przez wiele lat informacje o pracach pod Górą Ryszarda w Bolkowie, mających na celu dotarcie do wydrążonej przez Niemców w czasie wojny podziemnej fabryki o kryptonimie Lehm, obrosły legendą. Do tego stopnia, że w pewnym momencie trudno było rozsądzić, czy rzeczywiście eksploratorom uda się dotrzeć do jej wnętrza. W końcu, po niemal dekadzie, okazało się, że obiekt istnieje, z tym że układ sztolni i stopień ich wykończenia znacznie odbiegają od tych widniejących na planach i odnalezionych w niemieckich archiwach.

Po przeprowadzeniu pierwszego odwiertu wprowadzona do otworu kamera zarejestrowała obraz wnętrza sztolni. Jak widać korytarz jest częściowo zalany. Drewniane stemple zachowały się w tej części podziemi w stosunkowo dobrym stanie.

W przypadku Lubania i tamtejszych podziemi wydrążonych wewnątrz wzgórza o nazwie Kamienna Góra również krążyły legendy. Cząstkowa wiedza o nich przetrwała głównie w lokalnej pamięci. Wszystko zmieniło się w 2011 roku, gdy Tomasz Biernacki z Urzędu Miasta w Lubaniu i jednocześnie członek Stowarzyszenia Miłośników Górnych Łużyc odnalazł plany potężnego schronu przeciwlotniczego (Luftschutzstollen)

fot. Gralmarine

Niemiecki plan schronu przeciwlotniczego pod Kamienną Górą odnaleziony w 2011 roku przez Tomasza Bernackiego.

Wzgórze Kamienna Góra w Lubaniu z lotu ptaka. Pod nim rozpościera się obiekt, wg planów mający liczyć niemal kilometr łącznej długości korytarzy.

o łącznej długości korytarzy wynoszącej niemal kilometr. Wówczas odkrycie to wywołało nie lada sensację i stało się przyczynkiem do rozpoczęcia trwających aż do dzisiaj zakrojonych na szeroką skalę badań zarówno terenowych, jak i archiwalnych. Ich wyniki systematycznie publikowaliśmy na naszych łamach (Odkrywca nr 8, 9, 10, 12/2011, 2/2012, 6/2013), wspierając je i uczestnicząc w pracach eksploracyjnych.

Ku przełomowi

W ciągu tego czasu niestety nie udało się dotrzeć do dalszej części oryginalnej dokumentacji niemieckiej, która uzupełniłaby szczegóły dotyczące budowy schronu. Tym samym precyzyjne uchwycenie momentu rozpoczęcia przy nim prac, ich przebiegu i zakończenia pozostaje w sferze domniemań i hipotez. Poszlaki wskazują, że drążony był w ramach zakrojonego na szeroką skalę w III Rzeszy programu budowy schronów przeciwlotniczych dla ludności cywilnej. Istnieją pewne przesłanki sugerujące inne przeznaczenie, np. jako podziemnego szpitala czy podziemnej fabryki dla jednego z licznych w okolicy zakładów zbrojeniowych. Ze względu jednak na to, że obiekt najprawdopodobniej nie został w pełni ukończony i oddany do użytku, jego funkcja, np. w trakcie walk o Lubań w marcu 1945 roku, mogła być wyłącznie improwizowana. Zebranych zostało kilka relacji z tego czasu, w których podziemia pod Kamienną Górą są wspominane. Niestety niezwykle ogólnikowo. Trudno również przy obecnym stanie wiedzy precyzyjnie określić, kiedy i w jakich okolicznościach wejścia do podziemi zostały odstrzelone/zasypane. Mogli to zrobić wycofujący się Niemcy, Sowieci po zdobyciu miasta, jak i przejmujący je po wojnie Polacy. Jednak jedyny udokumentowany ślad w źródłach pisanych, jaki udało się odnaleźć,

wskazywał na tę pierwszą możliwość. Został zawarty w sprawozdaniu jednego z inspektorów Przedsiębiorstwa Poszukiwań Terenowych z lutego 1950 roku i opracowany na podstawie relacji miejscowego komendanta UB oraz rekonesansu terenowego, mającego na celu zlokalizowanie wejść do podziemnego schronu pod Kamienną Górą. W materiale tym znalazło się następujące podsumowanie: „(...) istniały trzy podziemne chodniki, które Niemcy przed odejściem wysadzili w powietrze. Mieli tam ukryć większą ilość ekwipunku wojskowego. Nie znaleźliśmy żadnego dojścia do >>>

fot. Szymon Wasyłów

>>> podziemi (...)". PPT planowało dotarcie do ich wnętrza, lecz ze względu na koszty i problemy techniczne takiego przedsięwzięcia nie zrealizowało. Od tego czasu, przez kolejne dekady, pamięć o podziemiach ulegała zatarciu, pozostając żywą głównie wśród badaczy lokalnej historii. Miejscowi regionaliści jak Tomasz Bernacki, Janusz Skowroński, Arkadiusz Wilczyński czy Janusz Kulczycki skrupulatnie gromadzili również i w tym temacie najdrobniejsze nawet wzmianki, przede wszystkim oparte na relacjach powojennych świadków. Wśród nich byli i tacy, którzy twierdzili, że wchodzili do wnętrza schronu wydrążonego w Kamiennej Górze. Inni zapamiętali stalowe wrota, kolejni wspominali szereg działań podejmowanych przy sztolniach, m.in. przez saperów Wojska Polskiego. Do dziś nie udało się dotrzeć w tej kwestii do żadnego źródła archiwalnego, który potwierdziłby te przekazy. Niezależnie od wszystkiego, tajemnica lubańskich podziemi wymagała bezwzględnie rozwiązania. Jedynym zaś na to sposobem i najskuteczniejszym jednocześnie jest oczywiście przedostanie się do wnętrza obiektu. Tu pojawia się jednak zasadnicza trudność. Wejścia są ukryte za potężnymi zawałami. Dotychczasowe próby ich pokonania nie powiodły się...

Lubań. Wzgórze Kamienna Góra 10 marca 2018

Kilkudziesięciotonowy, niskopodwoziowy zestaw kołowy, transportujący potężną wiertnicę firmy Maxam sprawnie zaparkował w jednej z alejek lubańskiej Kamiennej Góry. Niedługo później rozległ się donośny dźwięk uruchamianego silnika maszyny, która o własnych siłach po rampie naczepy zjechała na parkowe podłoże. Operator, sprawnie manewrując poruszającym się na gąsienicach kolosem, skierował się do strefy pierwszego odwiertu u skraju stromego zbocza wzgórza. Kilka dni wcześniej punkt ów, podobnie jak kolejne, został precyzyjnie wytyczony przez Łukasza Orlickiego (GEMO – Grupa Eksploracyjna Miesięcznika Odkrywca), Tomasza Bernackiego i geodetę Zdzisława Medweckiego. Opierając się na podkładzie geodezyjnym, zestawionym z planem podziemnego schronu przeciwlotniczego (Luftschutzstollen) z 1944 roku, wyselekcjonowano miejsca umożliwiające, po wprowadzeniu do odwiertu kamery, ocenę stopnia zaawansowania budowli, stanu jej wykończenia oraz drożności ciągów komunikacyjnych względem widniejącego na dokumentacji układu pomieszczeń i korytarzy. Do tej pory nie było bowiem wiadomo, w jakiej części projekt został

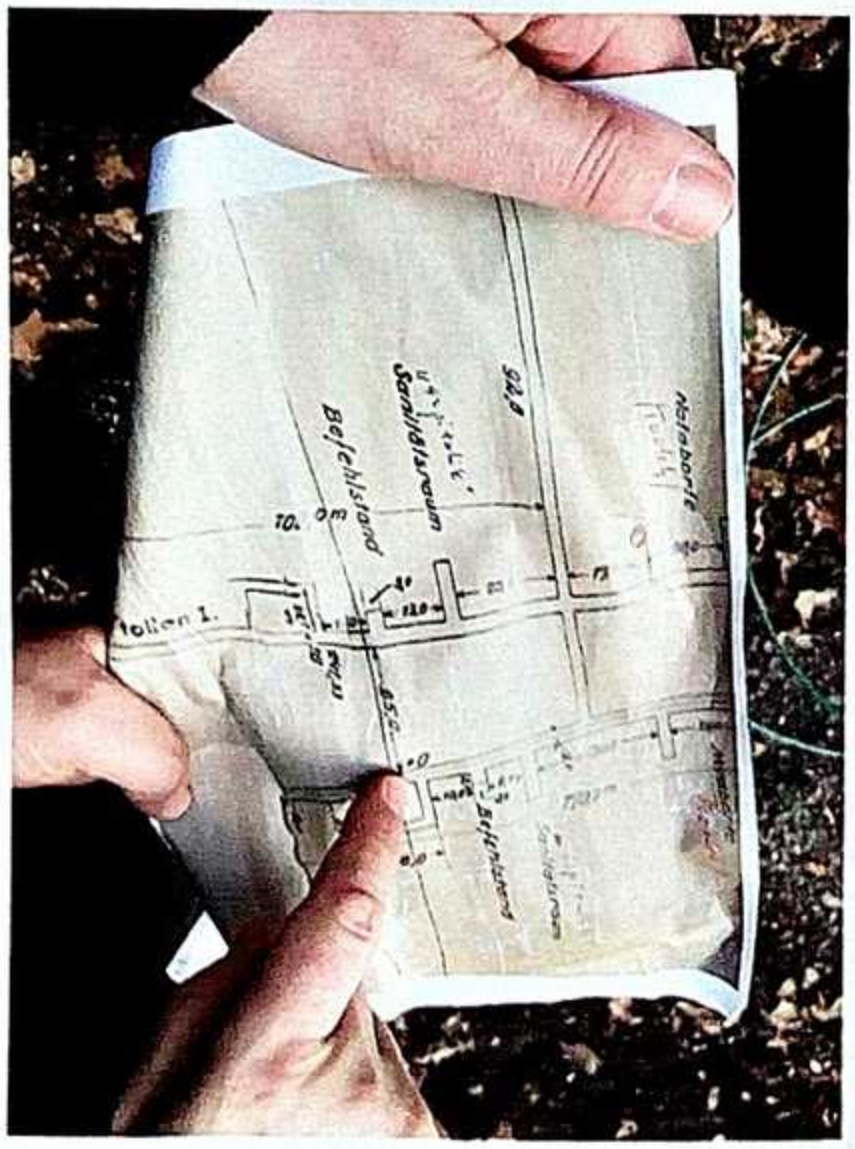

Tomasz Bernacki wskazuje na archiwalnym planie obiektu miejsce, do którego najprawdopodobniej udało się dotrzeć podczas pierwszego odwiertu.

przez Niemców rzeczywiście zrealizowany. Badania przeprowadzone wcześniej wykazały w tym względzie pewne rozbieżności. Szczególnie podczas prac z 2012 roku, gdy po odkopaniu wlotu do tunelu ewakuacyjnego od strony ulicy Kopalnianej, zamiast do 300 metrów chodnika eksploratorzy, weszli do 40-metrowego korytarza zakończonego górniczym przodkiem. Rok później odwiert wykonany od strony głównych wejść nie powiódł

fot. Szymon Wasylów

się w stopniu umożliwiającym skuteczne wykorzystanie kamery. Zamiast odpowiedzi pojawiały się kolejne pytania. Upłynęło od tego czasu aż 5 lat. Dopiero dzięki zaangażowaniu Urzędu Miasta w Lubaniu, gdy udało się zdobyć niezbędne do przeprowadzenia kompleksowych badań fundusze, możliwe było wykonanie kolejnego kroku.

Akcja

Gdy rozpoczął się pierwszy odwiert, wszyscy z nadzieją wpatrywali się w prace maszyny. Chociaż zastosowana wiertnica jest jednym z najbardziej zaawansowanych urządzeń tego typu, to i tak – wiercąc na głębokość 20 m – niewielki odchył wiertła od pionu mógł spowodować ominięcie celu nawet o parę metrów. Wiertło przebiło się przeze zmieszaną ziemię, a na głębokości ponad 1,5 metra wgryzło się w bazaltowe podłoże. Co pięć metrów mechaniczne ramię urządzenia dokładało kolejne przedłużki. 10 m..., 15 m... Niestety stabilna warstwa skały zmieniła się na tej głębokości w lepką warstwę iłów. Wiercenie przebiegało coraz wolniej i trudniej. Dopiero po kilkudziesięciu minutach udało się dotrzeć do głębokości, na jakiej powinien znajdować się schron. I w końcu tak! Na 20 metrach, jak wskazywał wyświetlacz w kabinie operatora, wiertło trafiło w pustą przestrzeń! Na 22,5 metra ponownie zapracowało. Oznaczało to, że sztolnia w tym miejscu ma nieco ponad 2 metry wysokości. Zwykle przy tego typu akcjach, podczas pierwszej godziny prac, nie spodziewamy się przełomowych efektów. Tym razem jednak miało być inaczej.

Odwiert nr 1

W czasie gdy wiertnica przemieściła się do kolejnego punktu wskazanego przez Łukasza Orlickiego, rozpoczęły się przygotowania do wprowadzenia w wywiercony odwiert kamery. Jaki jest stan wnętrza schronu? Co uda się w środku dostrzec? – mnożyły się gorączkowo pytania. Bartek Grynda z GRALmarine przygotował na tę okazję urządzenie rejestrujące, które mogło zmieścić się do odwiertu i pokazać na powierzchni to, co widać na głębokości kilkudziesięciu metrów. Krzysztof Krzyżanowski (GEMO) rozpoczął wprowadzanie głowicy kamery do otworu, a reszta ekipy z napięciem zaczęła śledzić ekran monitora. Oko kamery stopniowo >>>

Wiertnica firmy Maxam (Atlas Copco FlexiROC D50). Maszyna tego typu jest w stanie wykonać odwiert na głębokość 45 m.

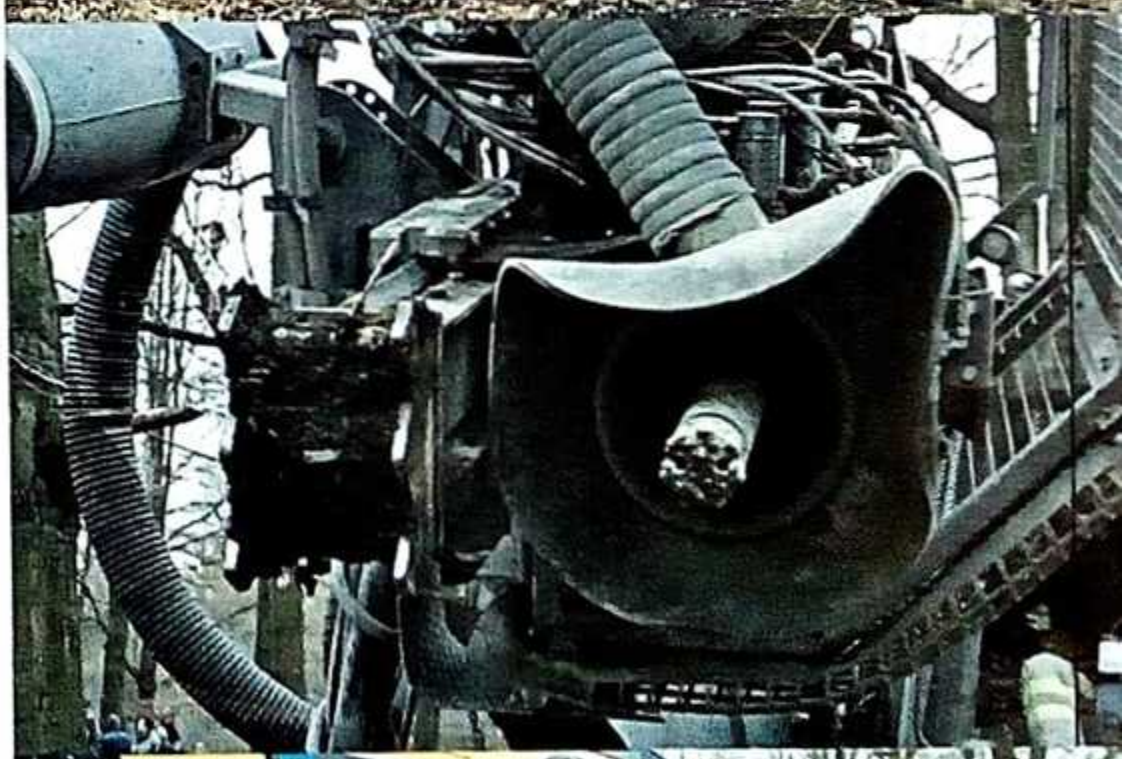

Rdzeń wiertła był w stanie przebić się przez bazaltowe podłoże wzgórza.

Konsultacja w trakcie odwiertu.

>>> zagłębiało się w ciemną otchłań. Z poszarpanej warstwy gruntu, przez którą tak ciężko przechodziło wiertło, wystawały kamienie utrudniające sterowanie. W końcu udało się przebić do wnętrza podziemnego korytarza. Początkowo na powierzchni ukazał się niewyraźny, pozbawiony ostrości i kolorów obraz. Po chwili zobaczyliśmy w pełnej krasie rozświetlony, zalany wodą na ¾ wysokości korytarz, oszalowany drewnianymi deskami strop i potężne bele podpór. Okazało się, że mieliśmy dużo szczęścia, któremu pomógł dobry dobór miejsca odwiertu. Celowaliśmy w skrzyżowanie głównego korytarza z odchodzącym od niego mniejszym chodnikiem śluzy przeciwgazowej. W rzeczywistości wwierciliśmy się ok. 0,5 metra z boku głównego korytarza, trafiając w boczny chodnik.

Odwierty nr 2 i 3

Drugi odwiert przebiegał początkowo podobnie jak pierwszy. Niestety gliniasta, lepka masa, która już wcześniej utrudniała prace maszyny, tym razem zmusiła nas do wycofania się na 19 metrze. Ryzyko utknięcia w podziemiach kosztownego wiertła było zbyt duże. Kierujący badaniami Łukasz Orlicki wspólnie z Tomaszem Bernackim podjęli decyzję o przesunięciu wiertnicy w centralny rejon schronu, w głębi wzgórza. Warunki geologiczne miały być tam o wiele korzystniejsze. Rzeczywiście, gdy potężna wiertnica rozpoczęła prace w tej części, wiercenie odbyło się bez przeszkód i niebezpieczeństwa zakleszczenia się głowicy. Miejsce trzeciego odwiertu zostało wytyczone na przecięciu chodników łączących sztolnię nr 1 ze sztolnią nr 2 oraz bocznego korytarza ewakuacyjnego. Biorąc pod uwagę wyniki pierwszego odwiertu, Łukasz i geodeta dokonali drobnych korekt. Tym razem wiertnica miała zejść niżej. Na podstawie analizy podkładu geodezyjnego i planów schronu ustaliliśmy, że powinna wiercić do głębokości ok. 28 metrów. Była to słuszna decyzja. Okazało się, że mamy kolejne trafienie! Na poziomie 25,5 metra przebiliśmy strop. Korytarz w tym miejscu był wyższy i miał ok. 3 metrów wysokości. Do odwiertu ponownie wprowadziliśmy kamerę, tym razem umożliwiająca szerszy zakres rejestracji obrazu. Naszym oczom ukazał się dużo większy fragment korytarza, również zalany wodą. Kilka dni później, dzięki innej kamerze Gralmarine, zobaczyliśmy w środku tory!

Odwiert nr 4 i 5

Został wytypowany w pobliżu punktu sanitarnego schronu, na przecięciu korytarza łączącego sztolnię nr 2 ze sztolnią sąsiednią. Przebieg wiercenia był bardzo podobny, ale tym razem trafiliśmy w coś bardziej zaskakującego. Na głębokości ok. 26 metrów wiertło wpadło w pustkę. Jej przestrzeń miała zaledwie metr wysokości, co oznaczało, że korytarz w tym miejscy był w znacznym stopniu zawalony. Wprowadzona do środka kamera pokazała częściowo zagruzowany fragment sztolni, który trudno było zidentyfikować. W środku było jednak sucho, a w obrębie pola widzenia kamery mogliśmy dostrzec fragment cegły i metalowego kątownika. Wbrew pozorom znaleziska te były nader interesujące. Mogły oznaczać, że budowa schronu nie ograniczyła się jedynie do wykucia w skale surowych ścian. Być może więc stopień jego wykończenia jest większy, niż się dotychczas wydawało.

Ostatni i piąty z kolei odwiert miał na celu próbę uchwycenia najbardziej skrajnego punktu podziemi – w miejscu, gdzie miał przebiegać długi, prawie 300-metrowy odcinek chodnika ewakuacyjnego. Wytyczenie go było niezwykle trudne – nawet po uwzględnieniu poprawek na podstawie poprzednich wyników, możliwość błędu ze względu na znaczną głębokość wynosiła nawet kilka metrów. Ostatecznie po przewierceniu 37 metrów, nie natrafiliśmy na jakąkolwiek przestrzeń, co mogło oznaczać, że nie trafiliśmy w poszukiwany chodnik. Tym samym uznaliśmy, że wiertło znalazło się gdzieś z boku interesującego nas obiektu. Akcja została przerwana.

Po wprowadzeniu kamery do odwiertu każdorazowo na powierzchni emocje sięgały zenitu. Niecodziennie przecież można obserwować pomieszczenia, które były niedostępne przez ostatnie 70 lat.

Wnioski

Rozpoczęty 10 marca etap prac miał trzy zasadnicze cele. Pierwszym było określenie, w jakim stopniu odnalezione plany schronu pokrywają się z podziemnym obiektem znajdującym

fot. Krzysztof Krzyżanowski

się pod Kamienną Górą. Drugim była ocena jego stanu zachowania i stopnia wykończenia. Trzecim zaś próba ustalenia, czy wewnątrz sztolni znajdują się jakiekolwiek pozostałości i artefakty z czasów II wojny światowej.

Po przewierceniu trzech miejsc struktury schronu wyjaśnione zostały dwie pierwsze kwestie. W odwiercie nr 3 dotarliśmy do odcinka sztolni umiejscowionego ok. 100 m od wejścia, do okolicy krzyżówki głównych korytarzy. Potwierdza to przypuszczenie, że schron został wykonany zgodnie z projektem. Dzięki odwiertowi nr 1 i 3 udało się uzyskać informacje o stanie technicznym obiektu, który wydaje się dobry. Korytarze są wysokie (od 2 do 3 metrów) i nie wyglądają na zawalone. W głównym chodniku znajdują się tory. W korytarzu łączącym śluzę ulokowaną przy wejściu głównym mogliśmy zobaczyć solidną drewnianą obudowę zachowaną w dobrym stanie. Jednocześnie odwierty potwierdziły, że obiekt jest zalany, jednak woda nie wypełnia całej przestrzeni schronu. Wynik odwiertu nr 4 jest niejednoznaczny. Niewielka wolna przestrzeń o wysokości ok. 1 metra sugeruje, że w tym miejscu doszło do zawału bądź innego rodzaju zniszczenia struktury. Jednak widoczne na kamerach elementy cegły i metalowego kątownika pozwalają przyjąć założenie, że stan wykończenia co najmniej części obiektu może być większy, niż się wcześniej wydawało. Na tym etapie prac w obiektywach kamery nie udało się nam zauważyć żadnego wyposażenia bądź innych przedmiotów zalegających wewnątrz sztolni. Warto zwrócić uwagę, że zbadaliśmy niewielki fragment obiektu, którego część najbardziej interesująca znajduje się pod wodą.

Kabina operatora wiertnicy wyposażona jest w wyświetlacz m.in. wskazujący bieżącą głębokość odwiertu.

Co dalej?

Obecnie przeprowadzamy dodatkowe badania w oparciu o dotychczas wywiercone otwory. Być może zdecydujemy się na wykonanie jeszcze jednego lub dwóch kontrolnych odwiertów. Szczegółowe wyniki zostaną wkrótce opracowane w formie raportu. Z pewnością wspólnie z Urzędem Miasta Lubania i Stowarzyszeniem Miłośników Górnych Łużyc, które zaprosiły Grupę Eksploracyjną Miesięcznika Odkrywca kilka lat temu do współpracy, będziemy opracowywać plany kolejnych etapów działań.

Wykonane w marcu br. wiercenia nie pozostawiają wątpliwości, że warto kontynuować prowadzone prace. Ich celem nadrzędnym powinno być tym razem przeprowadzenie kolejnej już próby bezpośredniego dotarcia do wnętrza schronu pod Kamienną Górą. Przedsięwzięcie to na obecnym etapie nie będzie jednak łatwe.

W przypadku prowadzenia prac przy głównych wejściach do obiektu niezbędne będzie zastosowanie metod górniczych. Działania tego typu są czasochłonne i kosztowne, lecz wydają się jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Dodatkowym utrudnieniem jest znajdująca się w środku podziemi woda. Problem ten będzie wymagał osobnego rozwiązania. Kolejną koncepcją, którą możemy wziąć pod uwagę, jest próba dotarcia do środka, drążąc szyb w oparciu o jeden z wykonanych odwiertów. I w tym przypadku niezbędne będzie zastosowanie metod górniczych. Jedno jest pewne. Temat jest wciąż rozwojowy i istnieje duże prawdopodobieństwo, że jeszcze w tym roku podjęte zostaną decyzje, które umożliwią podjęcie kolejnego etapu badań.

W pracach udział wzięli m.in. Łukasz Orlicki, Tomasz Bernacki, Bartłomiej Grynda, Krzysztof Krzyżanowski, Paweł Piątkiewicz, Piotr Maszkowski, Paweł Trzęsicki, Zdzisław Medwecki, Michał Banaś, Szymon Wasylów, Janusz Kulczycki, Andrzej Maciaszczyk. Prace zostały sfinansowane przez Urząd Miasta Lubań i odbyły się przy współudziale Stowarzyszenia Miłośników Górnych Łużyc.

Piotr Maszkowski
Redaktor naczelny miesięcznika „Odkrywca".

NASZE BADANIA WSPIERAJĄ:
HELIKON-TEX.com GRALmarine ARPOL www.arpol.art.pl

MONETY I GROBY Z BYDGOSKIEJ KATEDRY

Robert Grochowski w szczegółach opowiada o pracach archeologicznych, które już teraz mają sensacyjny przebieg...

MACIEJ KULESZA

W lutowym numerze „Odkrywcy" opisaliśmy historię odkrycia 486 złotych monet i ponad 200 artefaktów znalezionych w bydgoskiej katedrze przez archeologa Roberta Grochowskiego. Skarb był ukryty w prezbiterium 10 cm poniżej posadzki pod stallami, na których w czasie mszy siedzą księża. Najstarsza moneta Zygmunta Augusta pochodzi z 1570 roku, a najmłodsza to dukat Zjednoczonych Prowincji Niderlandzkich z 1652 roku. Skarb został prawdopodobnie ukryty przez bogatego kupca w czasie potopu szwedzkiego (1655–1660), kiedy to Bydgoszcz była trzykrotnie zdobywana i grabiona przez Szwedów.

Informacja o skarbie, który został odkryty 2 stycznia, poruszyła całą Polskę. Największe znalezisko w historii Bydgoszczy jest teraz badane przez archeologów i historyków sztuki. Dokładnie miesiąc po spektakularnym odkryciu (2 lutego) Maciej Kulesza rozmawiał w murach katedry o kolejnych sensacyjnych odkryciach z ich autorem – kierownikiem prac archeologicznych Robertem Grochowskim.

Miejsce niesamowite. Jesteśmy w prezbiterium oddzielonym od reszty kościoła wielką szczelną kotarą. Panuje półmrok rozświetlany przez lampy. Trwają prace konserwatorskie i archeologiczne. Przez wilgoci i zapachu środków grzybobójczych czuć nadal chyba zapach skarbu.

Ja go nie czuję. Chyba się przyzwyczaiłem (śmiech). Tak na poważnie, bydgoska katedra to szczególne miejsce, nasycone historią miasta i jego mieszkańców. To tu chowano najznamienitszych bydgoszczan: burmistrzów, rajców, bogatych kupców i rzemieślników, szlachtę oraz osoby duchowne.

Stoimy nad sześcioma odkrytymi przez pana kryptami, wewnątrz znajdują się pochówki. Posadzka została skuta. Nad nami góruje zakryty folią ołtarz z gotyckim obrazem Matki Bożej Pięknej Miłości z Różą z XVII wieku. Taka ilość krypt w prezbiterium to wielkie zaskoczenie?

Do tej pory odsłoniliśmy sześć krypt (oznaczonych jako obiekty nr 1–6). Krypta przy północnej ścianie prezbiterium (obiekt nr 1) jest kryptą ceglaną na planie prostokąta o wym. 4,0 x 2,0 m i sklepioną kolebkowo. Od zachodu znajduje się szyjowe wejście ze schodami. Krypta przy południowej ścianie prezbiterium (obiekt nr 5) jest nieco większa, na planie zbliżonym do trapezu, o wym. 4,3 x 2,5 m. Od zachodu posiada szyjowe wejście, skomunikowane z kolejną, dużą kryptą (oznaczoną jako obiekt nr 6). W centralnej części prezbiterium znajdują się trzy niewielkie krypty (obiekty nr 2, 3, 4), przeznaczone na jedną lub dwie trumny. Wszystkie krypty zostały poddane szczegółowej inwentaryzacji: wykonano dokumentację rysunkową i fotograficzną, rozwarstwienie chronologiczne murów, pobrano zlewki próbki zaprawy i cegieł. Z krypt zostały już usunięte pochówki w trumnach – ich zawartość jest obecnie poddawana analizie i konserwacji przez specjalistów z UMK w Toruniu.

Ponieś krypt odsłoniliście średniowieczny cmentarz?

Tak, poniżej fundamentów krypt odkryliśmy nienaruszony poziom >>>

ROBERT GROCHOWSKI

Archeolog, wychował się na bydgoskim Szwederowie. Ukończył Technikum Elektroniczne w Bydgoszczy, absolwent archeologii architektury na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Specjalizuje się w architekturze obronnej, multimediach i rekonstrukcji 3D. Uhonorowany odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej" oraz Złotym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej. Prowadził badania na blisko 150 stanowiskach archeologicznych, m.in. polskich fortyfikacji z okresu kampanii 1939 roku (samodzielnym punkcie oporu Dobieszewska, Przedmieście Bydgoskie, Pozycja Zielińskiego), niemieckich umocnieniach w Puszczy Bydgoskiej, ekshumacjach w Gołdku (gm. Dobrcz) i Pyszczynie oraz badaniami i pracami dokumentacyjnymi na terenie dawnych niemieckich zakładów zbrojeniowych Luftwaffenhauptamt VII Bromberg oraz D.A.G Fabrik Bromberg. W zawodzie pracuje od 16 lat. Ma żonę Karolinę i 18-letniego syna Pawła.

>>> późnośredniowiecznego cmentarza, datowanego na XIV-XV wiek. Jeszcze nie wiemy, czy pierwotnie znajdował się on poza kościołem, czy też zmarli byli inhumowani [obrzęd pogrzebania zwłok w formie złożenia niespalonego ciała do grobu – przyp. redakcji] wewnątrz świątyni. Zgodnie z ówczesnym rytuałem wszystkie szkielety spoczywały w osi wschód–zachód, z głową na zachód. W przeważającej mierze były to pochówki beztrumienne. Analiza antropologiczna szkieletów dostarczy nam cennych danych o populacji ówczesnej Bydgoszczy.

W jednej z krypt odnaleźliście pochówek trumienny osoby duchownej.

W krypcie północnej (obiekt nr 1) znaleźliśmy ciało ks. Józefa Turkowskiego, który był proboszczem bydgoskiej fary przez 26 lat. Zmarł 19 czerwca 1870 roku. Pochowany został w kombinowanej, drewniano-ołowianej trumnie. Na wieku spoczywał kartusz trumienny, co pozwoliło na identyfikację zmarłego. Trumna była za duża, by przenieść ją przez szyjowe wejście, toteż na potrzeby pochówku wybito specjalny, prostokątny otwór w sklepieniu.

Krypty musiały być wcześniej przez was wentylowane, aby wykluczyć negatywne dla zdrowia działanie groźnej pleśni – kropidlaka żółtego. To niebezpieczne dla archeologa?

Z pewnością. O szkodliwym działaniu grzybów pleśniowych nie musimy nikogo przekonywać. Nikt nie wchodził do krypt zaraz po ich otwarciu – przez długi czas były wentylowane. Eksploracją krypt i ich zawartości zajmował się zespół dr hab. Małgorzaty Grupy z Pracowni Dokumentacji i Konserwacji Instytutu Archeologii UMK w Toruniu. Wnętrza krypt zostały zdezynfekowane, używaliśmy specjalistycznego sprzętu ochronnego.

Używaliście georadaru do poszukiwania krypt?

Georadar był używany w katedrze w 2003 roku, jednak niczego nie wykrył. Georadar i inne metody bezinwazyjne ładnie wyglądają na filmach. To świetny sprzęt, jednak w praktyce wszystko zależy od wiedzy, doświadczenia i umiejętności obsługi. Należy pamiętać, że gruz czy warstwy demolacyjne zakłócają odczyty, w wyniku czego interpretacja uzyskanych danych jest utrudniona. Osobiście uważam, że metody bezinwazyjne to przyszłość archeologii, ale na tę chwilę – po doświadczeniach w tej materii – jestem bardzo ostrożny.

Czyli jak wpadliście na trop obecnych sześciu krypt?

W zasadzie to krypty wpadły na nas (śmiech). Prace budowlane w bydgoskiej katedrze miały ograniczyć się tylko do usunięcia posadzki z końca XX wieku. Na nasze szczęście odkryliśmy rzeczy, których nikt się nie spodziewał. 27 grudnia 2017 roku odsłoniliśmy kryptę północną, a później sukcesywnie kolejne obiekty.

Ołtarz ma zostać zdemontowany i poddany konserwacji. Będzie pan pod nim kontynuował badania?

Tak. Będziemy badać obszar pod ołtarzem. Możliwe, że odnajdziemy tam kolejne krypty lub fundamenty pierwotnego, średniowiecznego ołtarza. Ten, który obecnie stoi w prezbiterium, nie jest oryginalny. Został translokowany z korpusu nawowego na początku XIX wieku.

Jak długo będą trwać prace w bydgoskiej katedrze?

Trudno powiedzieć, to zależy od zakresu i postępu dalszych prac budowlanych. Odkryte krypty znajdują się w pasie, który będzie potrzebny do wymiany posadzki. Co do centralnej i zachodniej części prezbiterium, nie będziemy prowadzić tu badań wykopaliskowych. Osiągnięto tutaj docelowy poziom posadzki, a w myśl polskiego prawa, badania archeologiczne mogą być prowadzone tylko do głębokości inwestycji. >>>

M. Kulesza

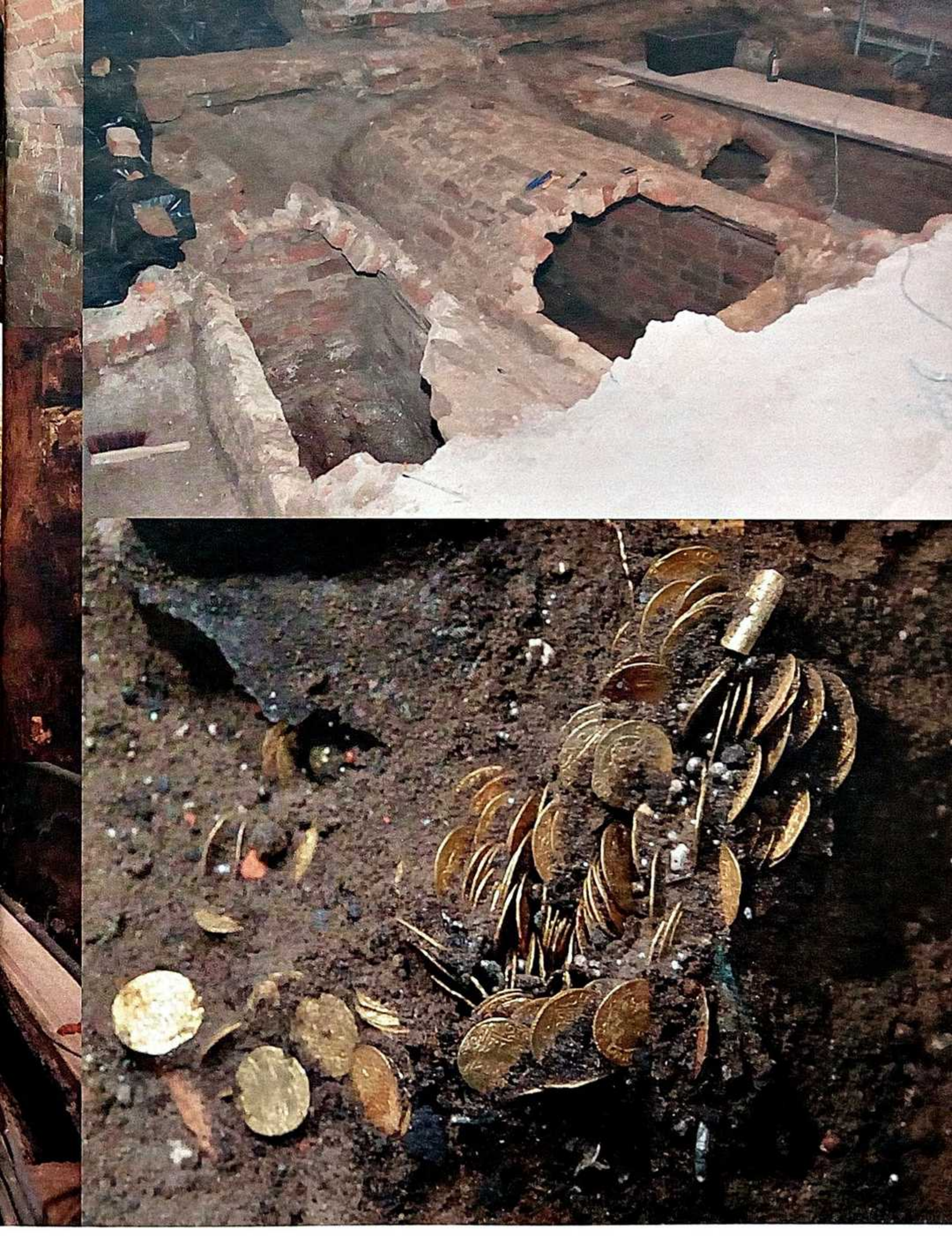

>>> Co się stanie z kryptami i szczątkami?

Decyzję o dalszym losie krypt podejmą wojewódzki konserwator zabytków i władze kościelne. Jako kierownik badań archeologicznych będę chciał, aby ludzkie szczątki wydobyte z trumien w obiektach nr 1, 2, 3, 4 powróciły do bydgoskiej katedry i zostały pochowane w nowych trumnach. Nie wyobrażam sobie innej sytuacji. Chciałbym również, aby zabytki ruchome, które nie będą eksponowane w muzeum, oraz te nieprzydatne dla celów naukowych, zostały oddane zmarłym. Wszystkie luźne szczątki kostne pozyskane z warstw kulturowych oraz kości z ossuarium – po ich przebadaniu przez antropologa – złożymy do ziemi w południowej krypcie. Wypada, byśmy zostawili po sobie dobre świadectwo.

Powróćmy jeszcze do monet. Kiedy i gdzie można będzie je zobaczyć?

To jest najważniejsza informacja sprzed kilku dni. Skarb, który ktoś 350 lat temu zakopał w pośpiechu w bydgoskiej katedrze, jest teraz eksponowany w naszym mieście, w Muzeum Okręgowym w Bydgoszczy. Wystawa została otwarta 13 lutego w Europejskim Centrum Pieniądza na Wyspie Młyńskiej. Serdecznie zapraszam.

Wartość złotych monet można oszacować?

Pod względem materialnym, w przeliczeniu na współczesne pieniądze, jest to spora kwota. Paradoksalnie monety w takiej ilości są mniej warte niż pojedyncze sztuki. Jeżeli mówimy o wartości naukowej, historycznej, archeologicznej – jest ona nie do oszacowania. To niewątpliwie największy skarb znaleziony w Bydgoszczy i jeden z większych znalezionych w ostatnim czasie w Polsce. Wielu archeologów sumiennie pracuje całe życie i nie ma tak spektakularnych odkryć. Cieszę się, że po 16 latach pracy udało mi się odnaleźć coś tak cennego. Ten dzień będę pamiętał do końca życia.

Na koniec pytanie trochę filozoficzne. Zadaję je w katedrze liczącej ponad 500 lat, patrząc na trumny, w których są szczątki ludzie. Praca archeologa zmienia stosunek do śmierci?

Otwieranie grobów i badanie ich zawartości to ostateczność. Robię to tylko wtedy, kiedy pochówki mogą zostać zniszczone w trakcie inwestycji. Nie zabieram zmarłym wyposażenia. Pobieram próbki, tworzę dokumentację rysunkową, fotograficzną, szczegółowy opis, jeśli trzeba skany 3D, a następnie zwracam rzeczy zmarłym. Nikt nie dał nam prawa, aby je zabierać. Praca archeologa uczy szacunku dla śmierci, ale jeszcze bardziej szacunku dla życia. Może zabrzmi to paradokslanie, ale dlatego, że miałem tysiące szkieletów w ręku, kocham życie. Mamy tak niewiele czasu – wykorzystajmy go dobrze.

Maciej Kulesza
Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Z wykształcenia historyk, pasjonat historii Bydgoszczy i architektury militarnej. Z zamiłowania dziennikarz i fotograf Gazety Wyborczej. Autor kilkuset artykułów, popularyzujących wiedzę historyczną regionu.

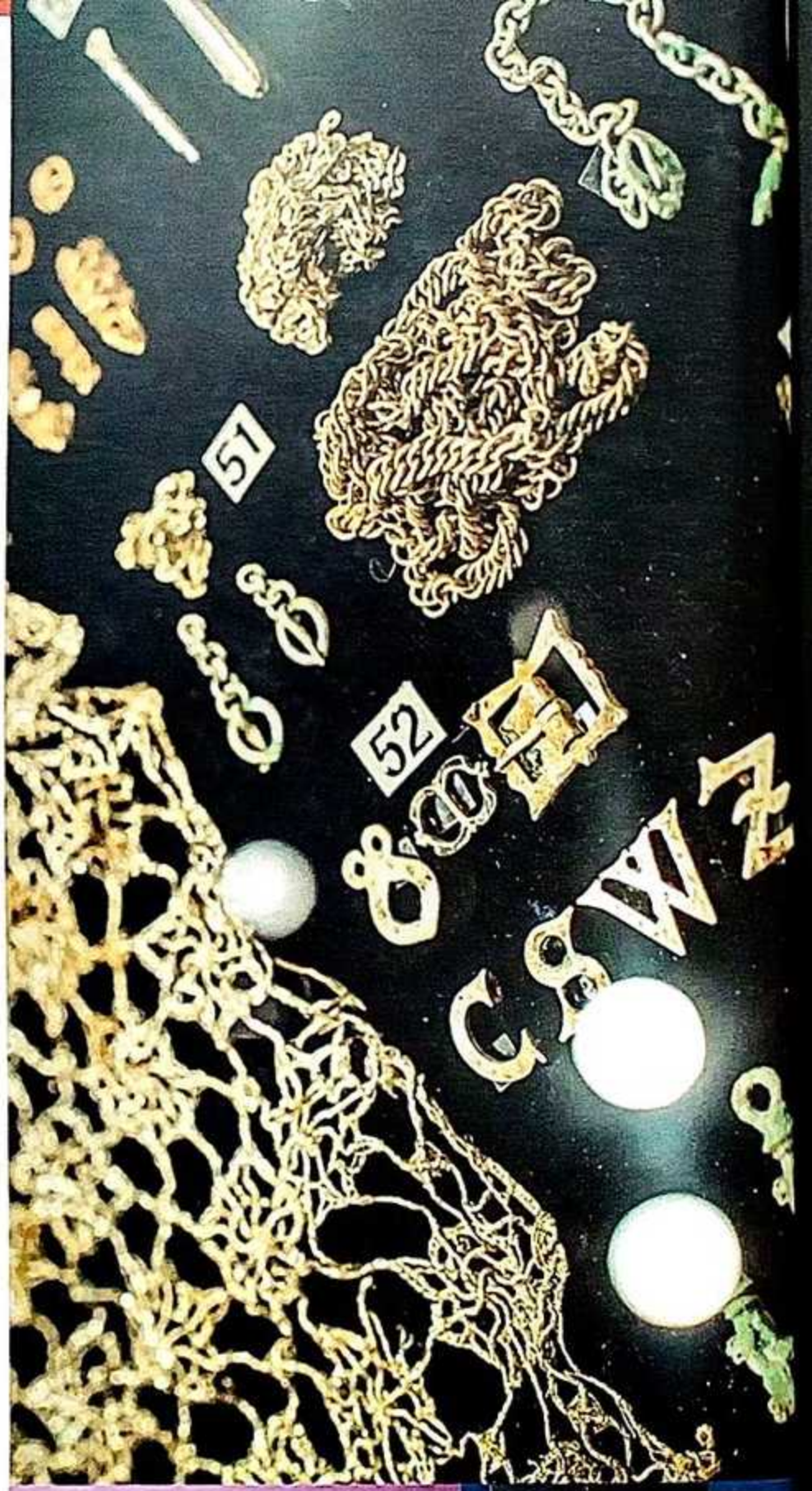

M. Kulesza

SKARB POKAZANO PUBLICZNIE W REKORDOWYM TEMPIE.

Po sześciu tygodniach od odkrycia skarb z bydgoskiej Fary pokazano publicznie (12 lutego) w Europejskim Centrum Pieniądza przy ul. Mennica 4 w Bydgoszczy. Aby go obejrzeć, przed muzeum ustawiły się tłumy. Wystawa ma charakter tymczasowy i jest odpowiedzią na ogromne zainteresowanie opinii publicznej. Dotychczas wielkość skarbu była znana na podstawie tylko kilku opublikowanych zdjęć tuż po jego odnalezieniu. Dopiero w muzeum, w specjalnie przygotowanej do tego celu gablocie, monety i biżuteria prezentują się okazale. Wyeksponowano 486 złotych monet dukatowych i biżuterii. Wśród przedmiotów jubilerskich godne uwagi są m.in. pontały, czyli aplikacje w kształcie rozet naszywane na ubrania lub nakrycia głowy. Uwagę zwracają również kolekcja srebrnych, złoconych guzów do żupana i do delii. Stan skarbu jest idealny.

Wśród monet zdecydowanie przeważają monety Zjednoczonych Prowincji Niderlandzkich. To trzy czwarte składu monetarnego bydgoskiego skarbu – informował w czasie uroczystego otwarcia wystawy Jarosław Kozłowski z Działu Numizmatów Muzeum Okręgowego w Bydgoszczy. W zbiorze znajduje się pięć monet polskich, a także monety austriackie, niemieckie, węgierskie, siedmiogrodzkie, szwedzkie, hiszpańskie. Muzealnicy zastrzegali, że minął za krótki okres, aby prawidłowo zbadać skarb.

– Najmłodsze egzemplarze tej kolekcji posiadają datę 1652, najstarsze natomiast są z przełomu XV i XVI wieku. Jest też biżuteria w większości z pierwszej połowy XVII wieku. Osobiście pragnę zwrócić uwagę na tzw. pontały, które stanowią elementy stroju lub nakryć głowy. Znamy takie z portretu chociażby Zygmunta III Wazy – mówił w czasie wystawy Michał Woźniak, dyrektor Muzeum Okręgowego w Bydgoszczy, który jednocześnie poinformował, że ekspozycja ma charakter tymczasowy. O środki na ekspozycję docelową władze muzeum złożyły już wniosek do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Urząd miasta zamierza w przyszłości wykorzystać skarb do promocji Bydgoszczy.

TAJEMNICZE KRYSZTAŁKI WRACAJĄ DO GRY...!

PIOTR KUCZNIR

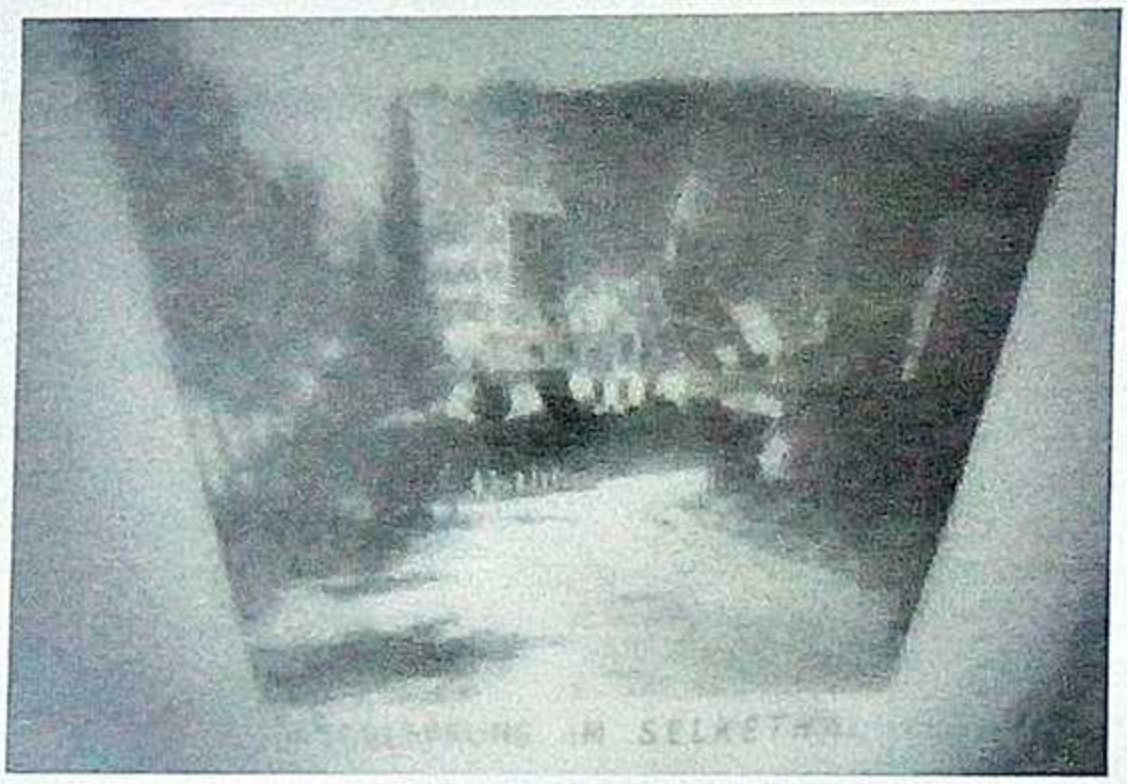

Droga i kościółek Magdesprung im Selketha.

Tajemnica miniaturowych kryształków, które zawierają mikroskopijne zdjęcia obiektów z terenu III Rzeszy, związana jest głównie z Zamkiem Czocha. Jak się jednak okazuje, nie tylko...

Rok 2018 rozpoczął się sensacyjnie dla północnej Bawarii. Jak opisuje regionalny portal internetowy „Nordbayern" na początku stycznia odnaleziono coś, co już przed laty ożywiło świat poszukiwaczy w Polsce. Tym czymś, co rozpaliło umysły Niemców, były... kryształki. Te „szklane rurki" miał ponoć znaleźć turysta w srebrnej papierośnicy pod dawną rezydencją Adolfa Hitlera w Berchtesgaden.

Miejsce odkrycia, trzeba przyznać, bardzo mocno rozbudzające wyobraźnię każdego, kto interesuje się historią drugiej wojny światowej. Jaką tajemnicę miały przechowywać owe „szklane rurki"?

Z takim zestawem pytań musiał też zmierzyć się każdy polski poszukiwacz, który w latach 90. usłyszał o tym sensacyjnym odkryciu w różnych miejscach Polski. Najwięcej kryształków znaleziono na Dolnym Śląsku i ziemi lubuskiej.

W książce pt. „Skarby Trzeciej Rzeszy – Tajemnice Zamku Czocha" Janusz Skowroński opisuje je dokładniej i jest to najpewniej pierwsza tego typu publikacja. Kryształki miały zostać znalezione w trzonie komina zamkowego. Było ich kilkadziesiąt. Chodziły także słuchy, że podobne znalezisko miało miejsce również w Lubomierzu, miejscowości znajdującej się niedaleko od zamku Czocha.

Cała historia w książce została opisana na stronach 71–75. Na kanwie tej historii powstał też film dokumentalny pokazany w jednej z telewizji i... temat na kilka lat ucichł, ożywając od czasu do czasu na różnych forach internetowych. Aż do stycznia 2018 roku. Temat kryształków zamkowych zapewne szerzej opisze Janusz Skowroński. Ja natomiast zajmę się tymi kryształkami, które nigdy nie ujrzały światła dziennego w szerokiej publicystycznej odsłonie. Nikt nigdy o nich nie słyszał i nikt nigdy nie omawiał ich z wypiekami na twarzy. A przecież takie kryształki istniały...

Kryształki z Gryfowa Śląskiego

Mało kto wie, że podobne znalezisko zostało odkryte w połowie lat 80. XX wieku. Miało miejsce również w pobliżu Zamku Czocha, w nieodległym Gryfowie Śląskim.

W tym kontekście zastanawiające jest, dlaczego akurat w tych okolicach kryształki w formie „szklanych rurek" były odnajdywane zdecydowanie najczęściej.

Wróćmy jednak do Gryfowa Śląskiego. Pewnego letniego dnia jeden z urodzonych w nim już po wojnie mieszkańców postanowił przeprowadzić kapitalny remont w mieszkaniu na poddaszu, w kamienicy tuż obok rynku. Podczas remontu z framugi okiennej wydobył dwa małe pudełeczka zapakowane w kawałek

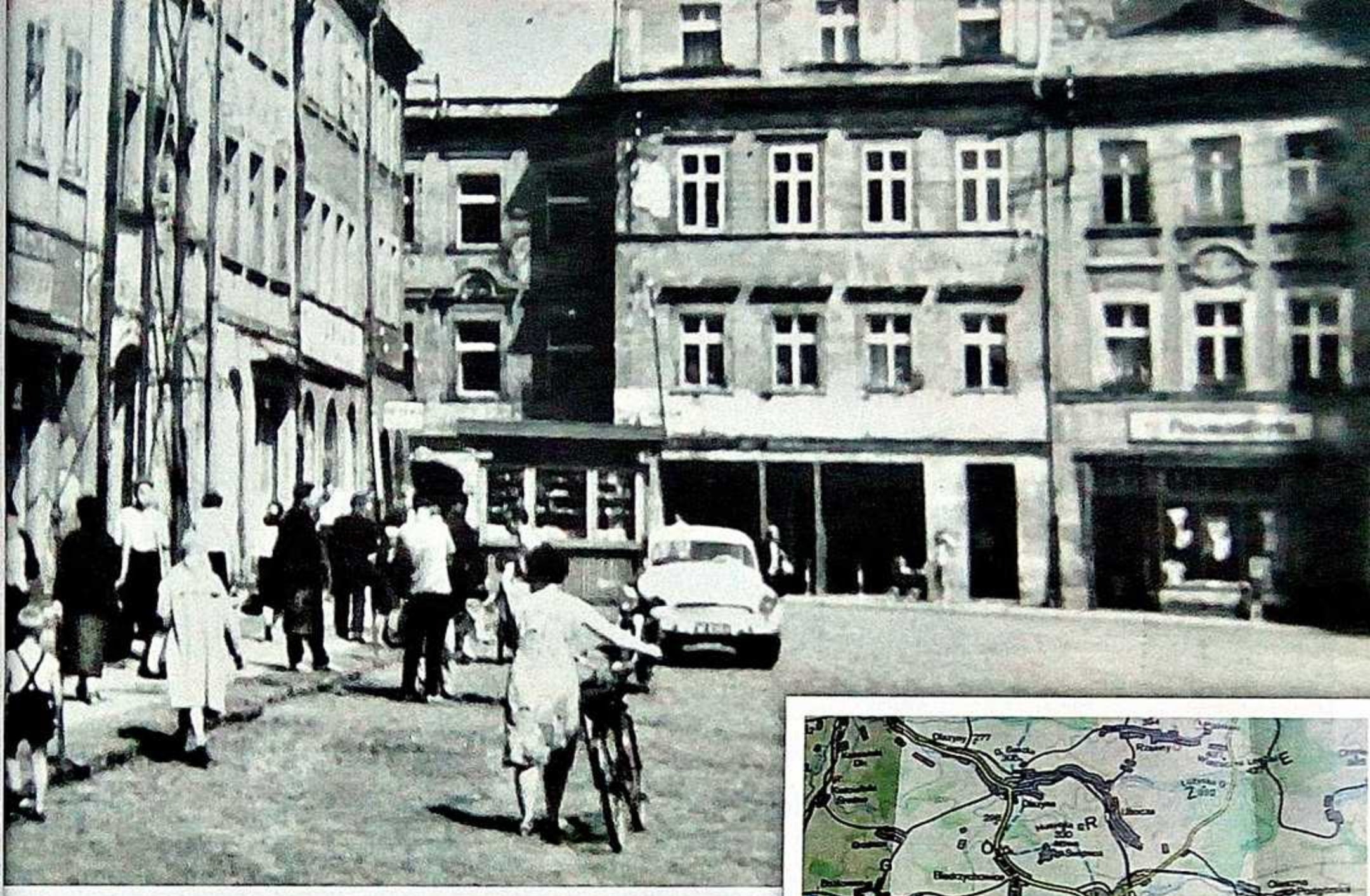

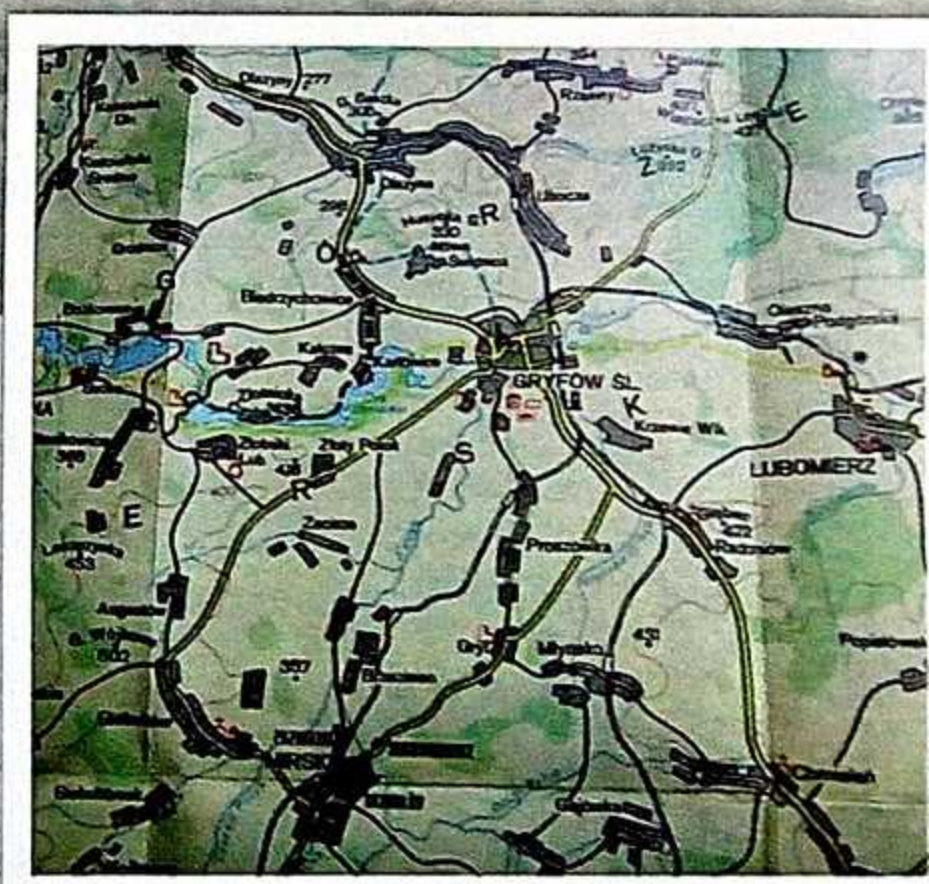

szmaty. Oczami wyobraźni widział już, poprzez zawiniętą szmatę, mały skarb, który finansowo podreperuje jego domowy budżet, nadwyrężony remontem.

Trudno teraz powiedzieć, czy po rozwinięciu szmaty, w którą zawinięte były pudełeczka, rozczarował się zawartością, czy też nie. Fakt pozostaje faktem, że po otwarciu pudełeczek zobaczył w nich małe szklane paleczki, które wydały mu się na pierwszy rzut oka bardzo dziwnym odkryciem. Po co ktoś chował w pudełku jakieś szklane paleczki? Bardzo dziwne znalezisko – tak pomyślał, oglądając „skarb" wraz z rodziną. Po pewnym czasie wiedział już, że podczas remontu znalazł coś, co jest bardzo ciekawym i kompletnie nieznanym przez nikogo „skarbem". Czy podzielił się informacją z kimś z sąsiadów? Chyba nie. Choć nie było wtedy Internetu i nie miał, jak dowiedzieć się więcej o tym znalezisku, to wiedział jednak, że udało mu się trafić na coś niezwykłego. W dwóch znalezionych pudełeczkach wielkości pudełka zapałek było około 80–100 kryształków. Po co ktoś je wykonał? Do czego one służyły? Dlaczego je tak dokładnie schowano? Kto przed nim mieszkał w tym mieszkaniu? Czy miał w ręce materiał szpiegowski? Na te pytania, niestety, nie było wtedy odpowiedzi. Bliższa analiza kryształków uzmysłowiła mu, że zawierają one liczne zdjęcia (od jednego do dziewięciu na jednym kryształku), na których były jakieś budowle, zamki, góry, miasta, pomniki... Jawiło mu się to jako przypadkowy zbiór różnych miejsc na terenie Niemiec. I było, według niego, zminiaturyzowanym zbiorem widokówek z wycieczek turystycznych. Znalezisko na kilka lat trafiło do szuflady. Bo co miał z nim zrobić, komu się pochwalić? Na początku XXI wieku znaleziskiem postanowił podzielić się ze swoimi krewnymi. Jedno pudełko podarował jednemu z członków dalszej rodziny, a drugie postanowił zachować >>>

fot. J. Siudecki/arch. autora, mapa – archiwum autora

Rynek gryfowski. Niedaleko tego miejsca miano odnaleźć kryształki.

Na mapie Gryfów Śl., Lubomierz i Czocha. To w tych miejscach miano dokonać odkryć kryształków.

dla siebie. Dziś to podarowane jednemu z członków rodziny pudełeczko ujrzało wreszcie światło dzienne.

Co jednak się stało z tym pudełeczkiem, które pozostawił sobie na pamiątkę?

Pojawiły się dwie wersje dalszych losów tego miniaturowego skarbu. Pierwsza mówi, że to są te, które „odnaleziono" w trzonie zamkowego pieca. Dla mnie ta wersja jest jednak raczej mało prawdopodobna. Druga zaś wersja mówi, że po prostu kryształki zostały wyrzucone

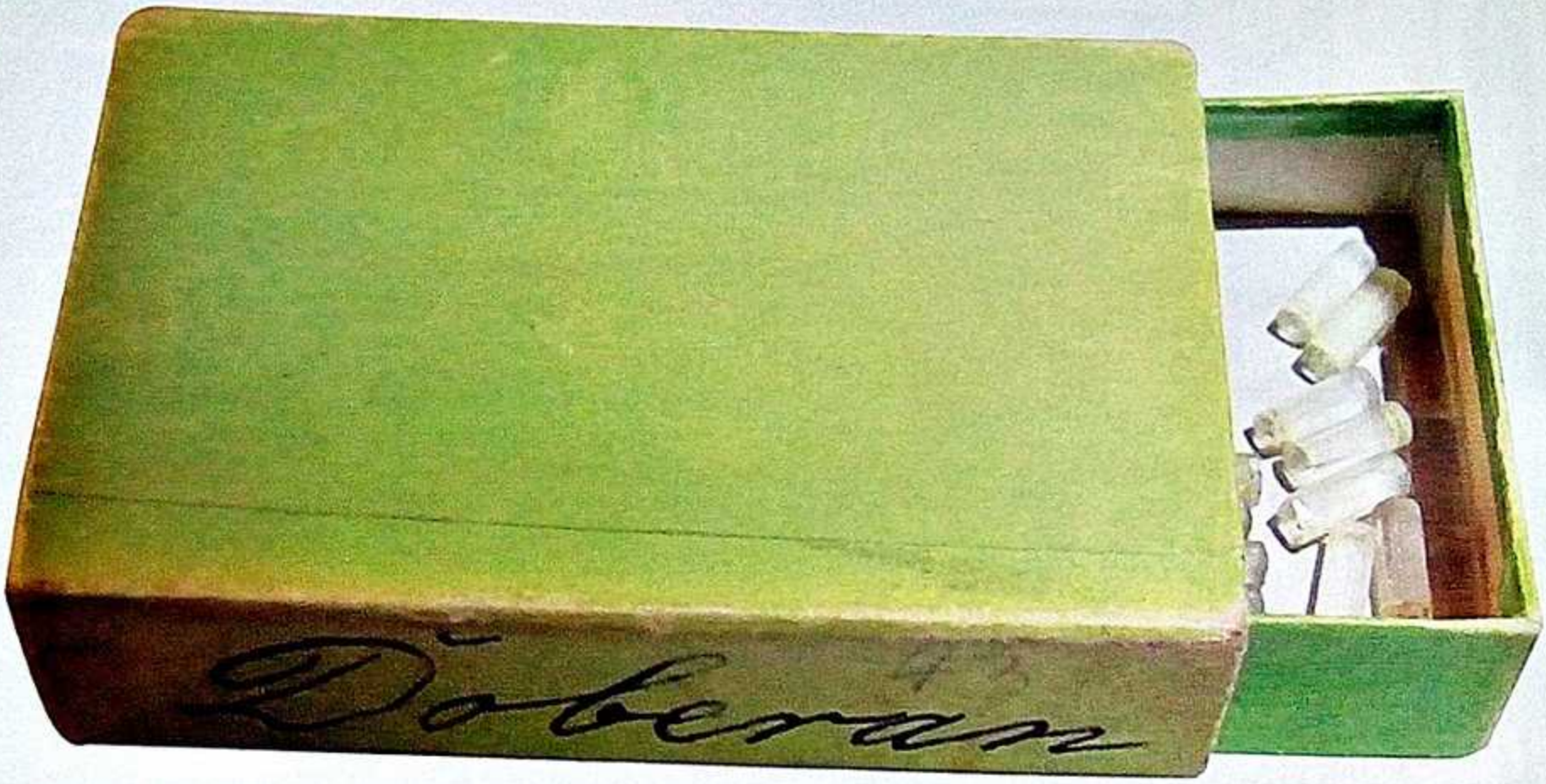

>>> podczas robienia domowych porządków, jako coś zbytecznego. Jak było naprawdę, tego niestety już się nie dowiemy. Osoba, która wiedzę tę posiadała, niestety już nie żyje.

Temat odnalezionych w Gryfowie Śląskim kryształków wymaga jeszcze dokładnego zgłębienia. Na pewno czytelnicy miesięcznika „Odkrywca" dowiedzą się o ustaleniach, dokonanych w tym jakże ciekawym temacie, który wiele razy pobudzał, i zapewne jeszcze pobudzi, wszystkich zainteresowanych tajemnicami drugiej wojny światowej.

Zamek Czocha. Dzieje, tajemnice, legendy. Marek Dudziak

Autor przedstawia historię Czochy, opisuje jej wygląd wczoraj i dziś. Przybliża postaci najbardziej intrygujących właścicieli. Jest przewodnikiem po dostępnych dla turystów komnatach i pomieszczeniach. Pisze o legendach, skarbach, czasach II wojny światowej. Stawia fascynujące pytania, które wciąż pozostają bez odpowiedzi.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

Co znajduje się na kryształkach?

Do naszych czasów ocalało ich około czterdziestu. Niestety, z upływem czasu część z nich uległa prześwietleniu, uniemożliwiając odczytanie obrazu zapisanego w kryształkach. Obiekty na nich prezentowane zlokalizowane były w większości w granicach III Rzeszy. Obszarach zarówno znajdujących sie na terenach obecnych Niemiec, jak i tych, które po 1945 roku jako tzw. Ziemie Odzyskane znalazły się w granicach Polski. Spora ich część pochodzi z obszaru Dolnego Śląska, np. Krzeszowa, który widnieje na dwóch zachowanych egzemplarzach kryształków.

Dlaczego tylko niektóre, a nie wszystkie?

Na kryształkach miejscowością, która najczęściej się powtarza, jest Blankenburg (Harz) – miasto w Niemczech, w kraju związkowym Saksonia-Anhalt, w powiecie Harz. Kryształki ze zdjęciami tej miejscowości zawierają pięć fotografii z ogólnym opisem

Na zdjęciu widać pudełko z kryształkami znalezionymi w Gryfowie. Widoczny jest też charakterystyczny napis na pudełku.

Trzy zdjęcia kryształków: na jednym widoczny jest kryształek, który przez lata zatracił swoją ostrość. Drugie zdjęcie przedstawia sześć zdjęć z Metzu: budynki, kościół, ratusz. Trzecie zdjęcie z numerem 2300 przedstawia Andenken an Kreuzberg.

Blankenburg. Pierwsze zdjęcie w kolejności to Schloss Blankenburg, drugie Vernigerode, trzecie Blankenburg, czwarte Steinerenne, Schloss und Stadt. Następnym miejscem, które często się powtarza na szklanych rurkach, jest Bad Rippoldsau-Schapbach, uzdrowisko w Niemczech, w Badenii-Wirtemberdze. Miejscowością, która leży blisko polskiej granicy, a znajduje się na kryształkach, jest Bad Muskau. Z tej miejscowości, na szklanej rurce umieszczone są trzy zdjęcia. Kryształki zawierają również bardzo dużo zdjęć zamków. Czy mogło to mieć jakieś znaczenie dla kogoś, kto posługiwał się tymi kryształkami? Kolejne pytanie otwarte, na razie bez odpowiedzi.

W całej kolekcji kryształków, tak jak napisałem powyżej, są też takie, które mają swoje numery umieszczone w prawym dolnym rogu. Numer 2644 znajduje się na aż dziewięciu zdjęciach z widokami góry, jakichś bliżej nieokreślonych skalisk, środkowe zdjęcie podpisane Ruebeland. Jest to miejscowość turystyczna położona na północny zachód od Lipska. Niestety, na tym bardzo interesującym kryształku nie >>>

fot. archiwum autora

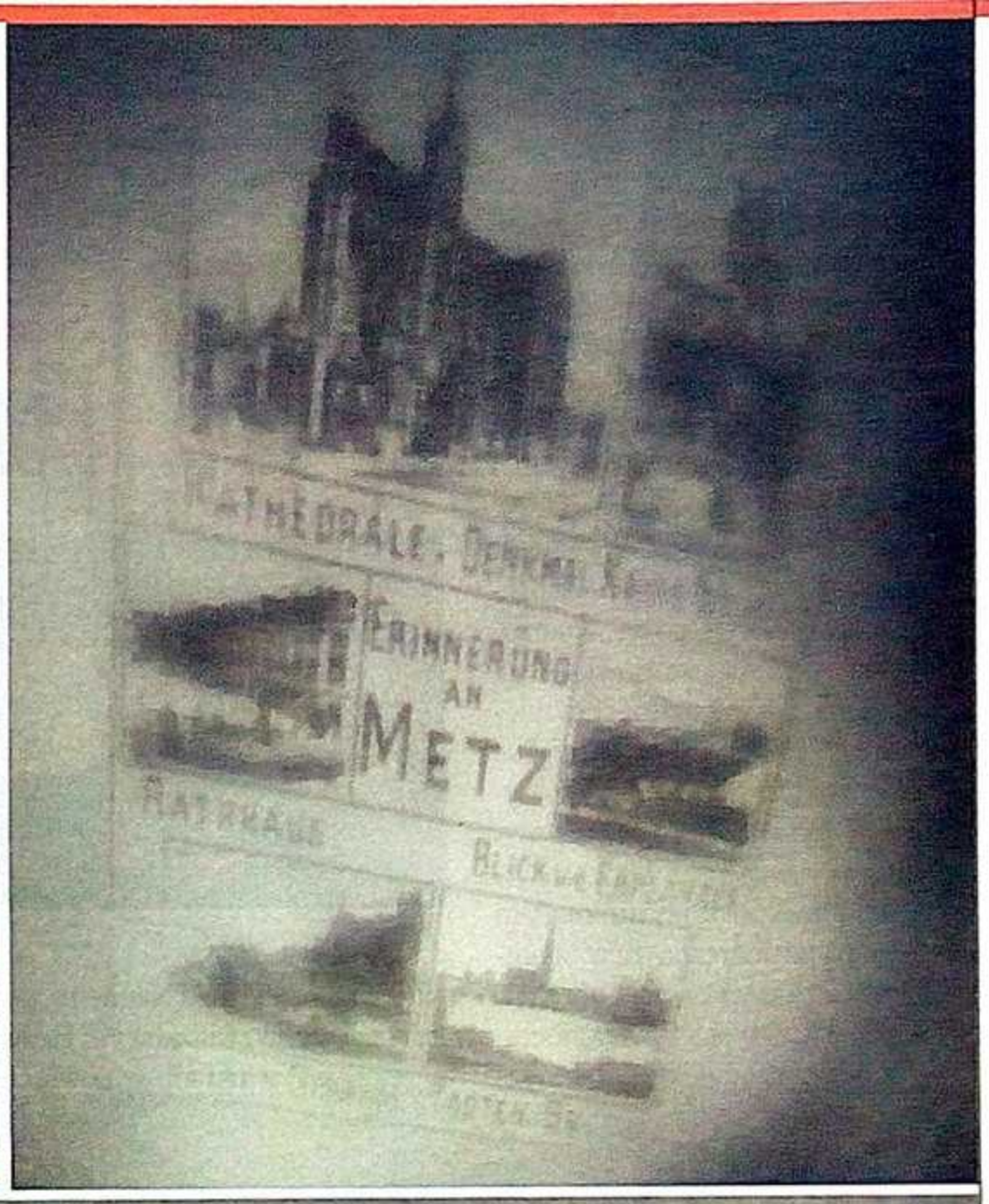
Erinnerung
an
METZ

>>> widać pozostałych podpisów pod zdjęciami. Gdyby mieć odpowiedni powiększalnik!

Drugi kryształek z numerem nosi oznaczenie 2300 i zawiera jedno zdjęcie z dzielnicą Berlina-Kreuzberg. Ano właśnie, dlaczego tylko dwie pałeczki szklane mają swoje numery? Zapewne miały jakieś ważne znaczenie, bo w innym przypadku nie nanoszono by na nich numerów.

Ciekawym kryształkiem jest ten, który zawiera zdjęcie z Fischanger, hotelu położonego na południowy zachód od Hanoweru. Hotel jak ulał pasuje po dziś dzień, ze względu na swoje ustronne położenie, na obiekt, w którym można było skrycie wykonywać różne działania, wymagające dyskrecji.

Jeszcze bardziej ciekawym zdjęciem, umieszczonym w tajemniczym kryształku, jest obrazek z zamkiem Schloss Spangenberg, położonym niedaleko demonicznej siedziby osławionych oddziałów czarnej gwardii Himmlera – Schutzstaffel (SS), która mieściła się w zamku Wewelsburg!

Można w tym momencie zadać sobie pytanie. Czy jest to jedynie zbieg okoliczności, że ten i ów obiekt znalazł się na tych rurkach-kryształkach?

I znowu kolejne uzdrowisko i miejsce jak najbardziej nadające się do tego, aby osoba w nim przebywająca mogła zachować całkowitą anonimowość. Tą miejscowością, uwiecznioną na tajemniczych pałeczkach, jest Bad Nauheim, położone w kraju związkowym Hesja, w rejencji Darmstadt, w powiecie Wetterau. Miejscowość leży u podnóża gór Taunus.

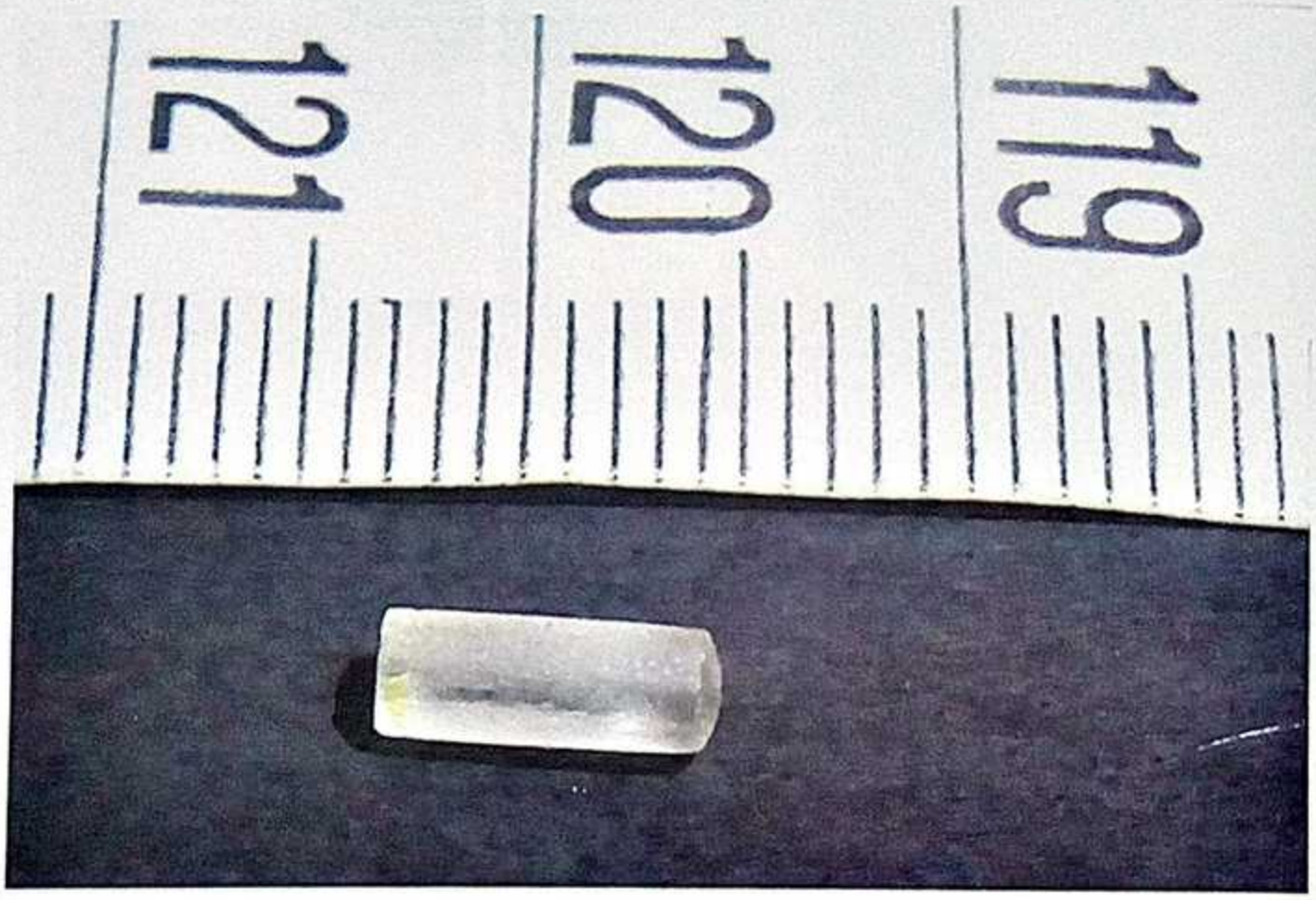

Kryształek na tle podziałki – oto jak małe były to przedmioty.

Z tej malowniczej miejscowości uzdrowiskowej kryształki przenoszą nas do Blankenese, dzielnicy rezydencyjnej Hamburga. Na tym samym kryształku są jeszcze inne zdjęcia, pokazujące tym razem gminę targową w Bawarii, i zdjęcia, których nazwy, niestety, są nie do odczytania bez specjalistycznego sprzętu optycznego. Wielkim jednak zaskoczeniem jest kryształek, na którym umieszczono zabytki Metzu, miasta i gminy w północno-wschodniej Francji nad Mozelą, stolicy regionu Lotaryngia i departamentu Mozela. Co robią te zdjęcia na tak skrzętnie skrywanych tajemnicach drugiej wojny światowej? Co ważnego, dla wykonawcy szklanej miniaturowej tajemnicy, znajdowało się w tym mieście? Kolejny raz pytania bez odpowiedzi.

Był Krzeszów, czas przyszedł na kolejną miejscowość leżącą w Polsce. Kahlberg – Krynica Morska. Z tego miasta aż sześć zdjęć umieszczono na kryształku. I znowu – dlaczego?

I dalej dzielnica Bremy i Schloss Kahla, zamek koło Jeny i Bad Dürrenberg, w kraju związkowym Saksonia-Anhalt. Kolejny kryształek, który udało się odczytać, przedstawia Molkenhaus, popularną miejscowość turystyczną w Górach Harzu. Na tym samym kryształku pojawia się ponownie zdjęcie z okolic zamku Wawelsburg – Schieder.

Ostatnim miejscem, które udało się odczytać na kryształku, to Bad Elster – miasto uzdrowiskowe w Niemczech, w kraju związkowym Saksonia. Jest to kolejny kryształek z numerem, tym razem 162. Miasto położone na granicy z Czechami, a więc bardzo blisko granicy Polski i nie tak daleko od miejsca, które jako pierwsze rozgrzało umysły poszukiwaczy sensacji. Tym miejscem jest oczywiście zamek Czocha.

Niestety, na wielu kryształkach nie udało się odczytać treści podpisów pod zdjęciami. Czas zrobił swoje. Być może, gdyby to się udało, posiedlibyśmy większą wiedzę o tym bezsprzecznie ciekawym znalezisku z połowy lat 80. XX wieku. Dlaczego wykonano owe kryształki? Czy zbiór zdjęć był przypadkowy? Czy zdjęcia obiektów-miejsc koło zamku Wewelsburg, mitycznego zamku SS, to zwykły zbieg okoliczności? Czy umieszczone na zdjęciach polskie miejscowości to tylko >>>

fot. archiwum autora

Tajny zamek Czocha. Dzieje, tajemnice, legendy. Piotr Kucznir
Czocha to jeden z najpiękniejszych i najbardziej zagadkowych zamków w Polsce. Dla wielu pasjonatów historii otaczająca go mgła tajemnicy łączy się głównie z losami tajnej niemieckiej maszyny deszyfrującej o kryptonimie „Ryba Miecz". To tylko jedna z wielu zagadek, które w swojej książce stara się wyjaśnić Piotr Kucznir, związany od lat z tym obiektem.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

przypadek, czy też były ważnym elementem układanki, np. tajemnic wywiadu niemieckiego? Dlaczego niektóre zdjęcia zawierają numery, a niektóre nie? Czy położone w ustronnych miejscach schroniska, których nazw nie udało się ustalić i tych, które się udało, są również przypadkowe? Czy odegrały w czasie wojny jakąś nieznaną bliżej historii rolę? Dlaczego kryształki były ukrywane na poddaszach i tak zabezpieczane, że przetrwały bez większego uszczerbku do dziś? Przed kim je ukrywano?

Zapewne na wiele z tych pytań, jeśli nie na wszystkie, odpowiedzieć sobie będzie musiał czytelnik tego artykułu. Każda udzielona odpowiedź będzie przybliżać nas do wyjaśnienia tej, jakże sensacyjnej, zagadki Trzeciej Rzeszy. Czy wspomniane na wstępie znalezisko z Niemiec oraz to z Gryfowa Śląskiego przybliży nas kiedyś do rozwiązania fascynującej tajemnicy? Oto jest pytanie. Pytanie wciąż otwarte.

Warto zadać jeszcze jedno pytanie. Czy przeznaczenie kryształków ma faktycznie związek z techniką szpiegowską? Znane były w czasie II wojny światowej co najmniej równie skuteczne, lecz nieco mniej skomplikowane, metody zapisu informacji techniką mikrokropek. Szklane rurki tym samym, dzięki możliwości efektownego wyświetlania zatopionych w nich zdjęć – mogą być zatem zupełnie cywilnym gadżetem lat 30. i 40. Jednak to jest również hipoteza. Tylko czy równie efektowna?

Piotr Kucznir

Wiceprezes Łużyckiego Towarzystwa Historycznego Zamku Czocha, regionalista, rekonstruktor epok historycznych, miłośnik historii regionu Górnych Łużyc i Dolnego Śląska. Autor m.in. książki o zamku Czocha pt.„Tajny Zamek Czocha". Doświadczenie zdobyte w wojsku wykorzystuje w tropieniu zagadek czasów minionych. Marzy mu się odkrycie zagadek „ukrytych na widoku".

ŹRÓDŁA

Janusz Skowroński „SKARBY TRZECIEJ RZESZY. TAJEMNICE ZAMKU CZOCHA" WYD. CB Warszawa 1999 r.

REKLAMA

CO SIĘ STAŁO Z PAŁACEM W RASZOWEJ?

ROMUALD OWCZAREK

Dziś we wsi pozostał tylko fragment jednej ściany. Dlaczego doszło do zniszczenia obiektu?

Fasada pałacu – stan z 1939 roku.

W mało znanej wiosce Raszowa (do 1945 roku – Gross Reichen) w gminie Lubin na Dolnym Śląsku istniał pałac barokowy. Istniał, ale dziś prawie nic z niego nie zostało. Historia jego „zniknięcia" jest szalenie tajemnicza. Autor artykułu prezentuje prawie nieznane losy pałacu w czasie II wojny światowej. Sama wieś Raszowa była dawniej prywatnymi majątkami wielu niemieckich właścicieli.

W 1937 roku majątek został rozparcelowany na dwie części. Dobra szlacheckie przypadły Śląskiemu Towarzystwu Ziemskiemu we Wrocławiu, zaś tereny leśne i ogrodnictwo zakupił śląski przemysłowiec Wiktor Nowack. Ozdobą wsi był pałac z pięknym parkiem krajobrazowym oraz mauzoleum rodu Hänsel.

Rezydencję pałacową wzniesiono około 1688 roku na polecenie ówczesnego właściciela dóbr – Jana Jerzego von Lüttichaua. Wczesnobarokowa budowla postawiona została na miejscu tzw. starego zamku, a także otoczona fosą, nad którą zbudowano wówczas dwa mosty, a potem trzeci podczas przebudowy pałacu w XVIII wieku. Po I wojnie światowej pałac pozostawał w imieniu rodu Hänsel pod opieką rodziny Westphal.

Podczas prowadzonych prac badawczych poznałem różne wersje losów pałacu w 1945 roku. Jedne źródła podają, że pałac został zajęty przez żołnierzy Armii Czerwonej i następnie podpalony. Z innych przekazów z kolei wynika, że pałac na początku 1945 roku został doszczętnie zniszczony w wyniku jego zbombardowania. Z kolei niemiecki autochton Oskar Sperling uważa, że pałac został w 1945 roku podpalony i, co ciekawe, nie wspomina nic o jakichkolwiek nalotach lotniczych na Gross Reichen.

Dyrekcja Kolei, podlegająca Ministerstwu Komunikacji III Rzeszy

w Berlinie już w 1943 roku przystąpiła do relokacji swoich agend do miejsc uznawanych za bezpieczne. Co ciekawe, nie były to zamierzenia dokonywane na zasadzie dzierżawy obiektów, ale starano się nabywać nieruchomości na własność. Z akt działalności maklera Balzera wynika, że dla potrzeb Dyrekcji Kolei pośredniczył w zakupie kilku zamków-pałaców na terenie III Rzeszy, np.:

– pałac Commende Ramersdorf koło Bonn,

– pałac Hohenbuchbau koło Wiesbaden,

– zamek Książ koło Wałbrzycha,

– pałac w Raszowej.

Zaskakuje trochę fakt, że ww. obiekty pałacowo-zamkowe, choć były w ustronnych miejscach, to jednak nie było do nich w chwili zakupu… połączeń kolejowych! Zapewne nie planowano tutaj przenoszenia ważnych zespołów o charakterze operacyjnym.

Pałac – wspomnienia

Pałac w Raszowej został zakupiony przez Dyrekcję Kolei we Wrocławiu 12 lipca 1943 roku. Na tę okoliczność zachował się opis nabywanej nieruchomości i jest to cenny dokument pokazujący stan obiektu pod koniec II wojny światowej. Przy pałacu wybudowano dom jednopiętrowy. Sam kompleks pałacowy był oddalony od najbliższej stacji kolejowej w Raszówce około 4,5 km. Trzy dni w tygodniu przejeżdżał tędy omnibus pocztowy na trasie Lubin – Raszówka – Raszowa. Pieszo można było dojść do stacji w Raszówce w ciągu godziny. Połączenie drogowe z Legnicą wynosiło 15 kilometrów.

Pałac posiadał:

a) na parterze – 9 dużych i 1 małe pomieszczenie,

b) na I piętrze – 11 pokoi, 2 łazienki (w tym jedna z luksusowym wyposażeniem), pomieszczenie boczne z widokiem na park,

c) na poddaszu – 10 pokoi, 1 łazienka oraz duży korytarz,

d) pomieszczenia gospodarcze, duża kuchnia, spiżarnia.

Pomieszczenia piwniczne były wyłożone płytkami.

Sam pałac był w dobrym stanie i tylko w niektórych miejscach należało dokonać niewielkich remontów. Uszczelnienia wymagał np. system odprowadzania wody z luksusowej łazienki na pierwszym piętrze, zaś renowacji nakazano poddać niektóre malowidła i tapety na poddaszu.

Pałac posiadał własny system zaopatrzenia w wodę, wyposażony w elektryczną pompę oraz miejscową oczyszczalnię ścieków. Elektryczne oświetlenie było we wszystkich pomieszczeniach pałacowych i w piwnicach. Dla potrzeb zaopatrzenia kuchni funkcjonowała winda z poziomu piwnicy, przemieszczająca się na pierwsze piętro.

Niektóre pomieszczenia pałacowe przed sprzedażą były wynajmowane przez dwóch najemców.

Transakcja

Bezpośrednio po wstępnej umowie zakupu pałacu dyrekcja generalna Kolei Rzeszy w Berlinie otrzymała akt sprzedaży oraz specyfikację niezbędnych nakładów finansowych w celu adaptacji pałacu na terenową placówkę dyrekcji kolei we Wrocławiu.

Przesłana umowa wymagała jeszcze zatwierdzenia przez władze finansowe i posiadała klauzulę, że istnieje możliwość odstąpienia od tej umowy w ciągu 3 dni. Ogólny koszt przygotowania pałacu zamknął się kwotą 287 000 RM, w tym szczegółowe wydatki to:

a) koszt zakupu pałacu – 250 000 RM,

b) podatek od nieruchomości – 12 500 RM,

c) prowizja dla maklera – 7 500 RM,

d) koszty remontu, napraw – 17 000 RM.

Zagospodarowanie

We wniosku skierowanym do Dyrekcji Kolei w Berlinie zaproponowano, by pałac został przeznaczony na biura. Na parterze i pierwszym piętrze miało pracować 45 urzędników kolejowych. Zakwaterowani mieli być na poddaszu, w pokojach z dwupiętrowymi łóżkami.

Duży korytarz miał służyć za miejsce do przygotowywania i spożywania posiłków.

W piwnicy zaplanowano wygospodarować pomieszczenie dla domowej gospodyni. Wspomniano również o dużych walorach parku pałacowego. Uznano, że pod gęstymi koronami drzew będzie można ukryć kilka baraków.

Zaproponowano też alternatywne rozwiązanie w przypadku, gdyby centrala w Berlinie uznała, że pałac w Raszowej nie nadaje się na biura. Rozważano umiejscowienie tutaj szkoły kolejowej dla >>>

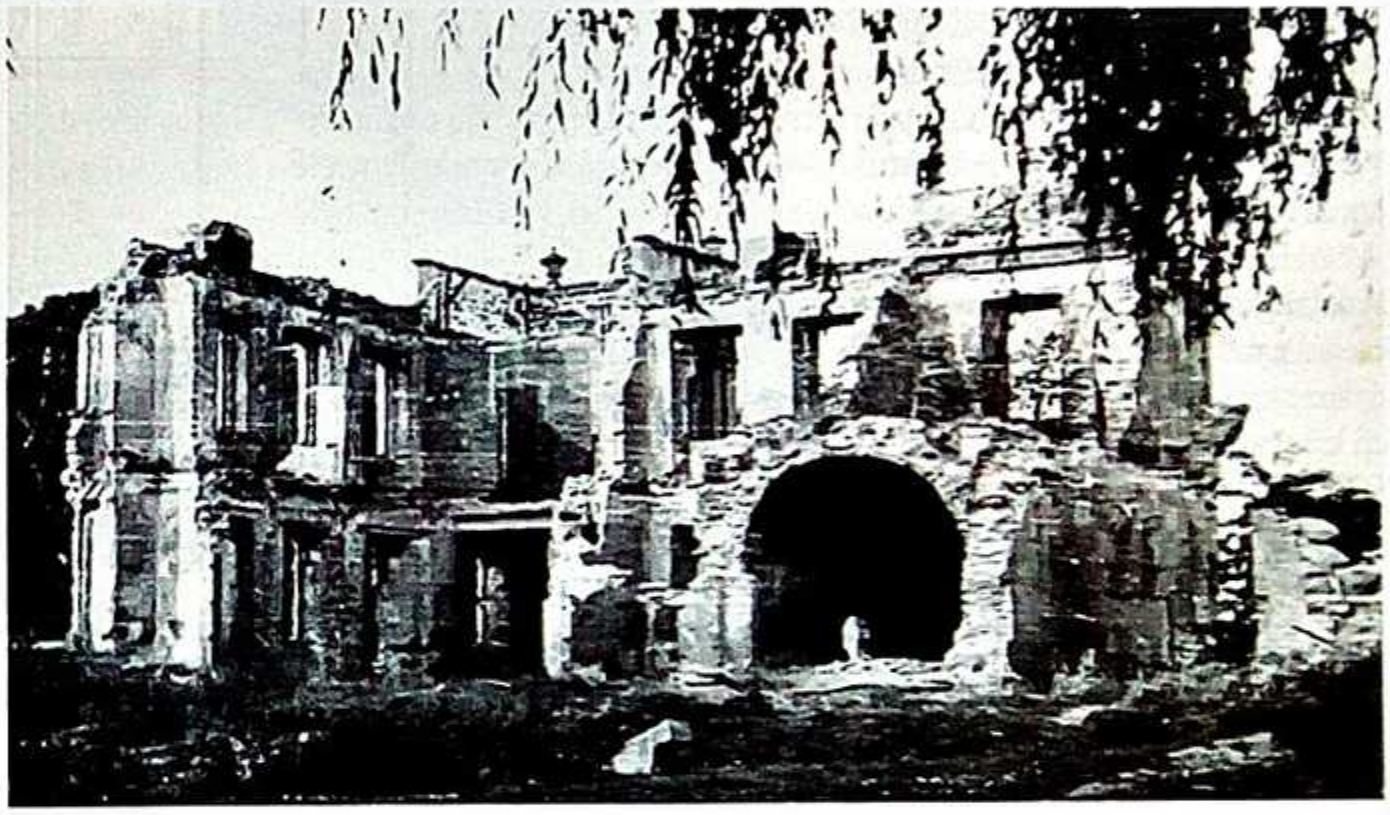

Spalona część pałacu – stan z 1959 roku.

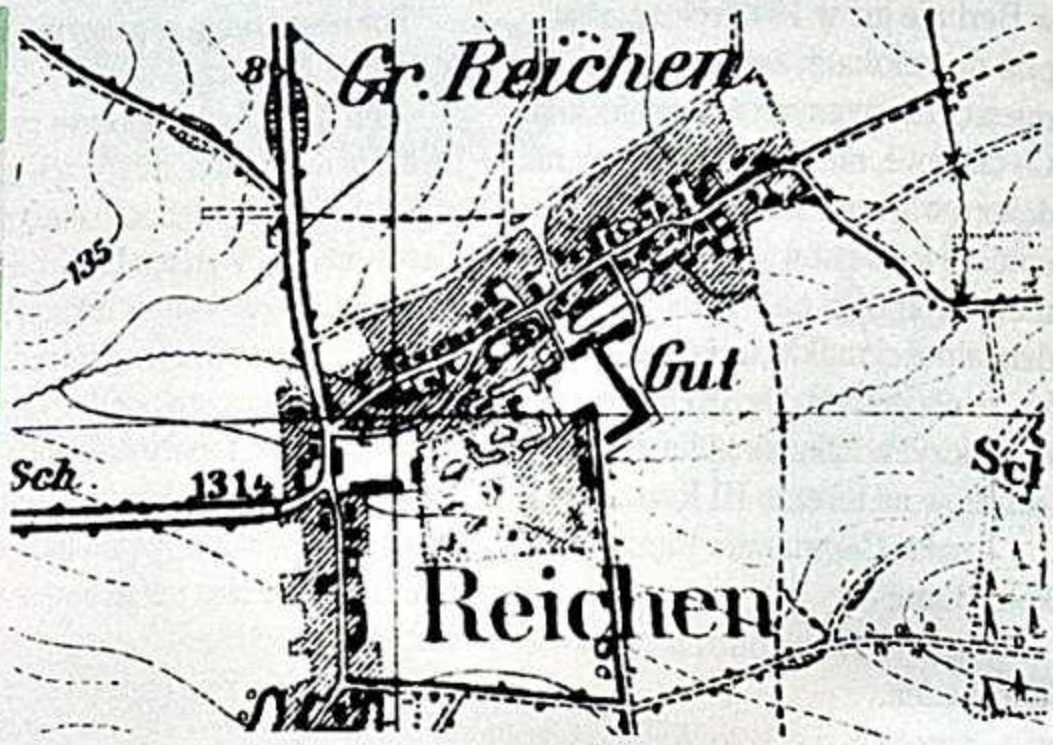

Mapy rejonu Raszowej (po lewej współczena, po prawej niemiecka: Gut – lokalizacja pałacu).

>>> 50–60 uczniów. Uzasadniano to trwającymi od dłuższego czasu poszukiwaniami takiego typu obiektu przez dyrekcję kolei we Wrocławiu.

20 lipca 1943 roku podjęta została ostateczna decyzja co do przeznaczeniu pałacu, który oddany został do dyspozycji Oddziałowi E IV B dyrekcji kolei we Wrocławiu. Ze struktury Reichsdeutchebahn z 1938 roku wynika, że Abteilung IV zajmował się sprawami finansowymi i prawnymi.

Pismem z dnia 27 lipca 1943 roku Dyrekcja Kolei w Berlinie zaakceptowała kupno pałacu oraz przedstawione zestawienie kosztów, informując również, że zabezpieczyła już niezbędne środki finansowe i gotowa była nawet pokryć ewentualne nieprzewidziane wydatki.

Pozostały jeszcze do uregulowania sprawy z osobami zamieszkującymi w pałacu. W sierpniu 1943 roku odbyły się rozmowy-negocjacje, które przyniosły wiele kontrowersji, bo za bardzo nie było wiadomo, na jakiej podstawie zamieszkują tu Panie Nentwich i Schlegel. Okazało się, że Rona Schlegel i jej mąż Hugo w 1925 roku odmówili podpisania umowy najmu mieszkania w pałacu z opiekunem rodu Hänsel – Kurtem Westphalem, i tak naprawdę to zajmują mieszkanie bezprawnie. Ale Pani Schlegel była już starszą osobą, co utrudniało znalezienie jakiegoś konsensusu. Ostatecznie strony się porozumiały i tak:

– Pani Nentwich zgodziła się oddać dużą piwnicę,

– Pani Schlegel wyprowadziła się z poddasza, zajmując mniejszy pokój. Zajmowała jednak kuchnię i inne dotychczas zajmowane pokoje. Uznano to za stan przejściowy do czasu ostatecznego wyjaśnienia wszystkich aspektów prawnych.

Ze wspomnień mieszkańców niemieckiej wioski wynika, że urzędnicy z wrocławskiej dyrekcji kolei przyjechali do Raszowej i przebywali tutaj do 27 stycznia 1945 roku.

Ruiny pałacu – stan z 1959 roku.

fot. Wikipedia

Szpiedzy w okolicy pałacu

Wspomniany wyżej były mieszkaniec Groß-Reichen (Raszowa) – Oskar Sperling – zamieścił przed śmiercią w internecie swoje wspomnienia z dzieciństwa. To jedna z niewielu relacji, która ukazuje wieś oczami kilkunastoletniego młodzieńca. Jedno ze wspomnień dotyczy zgoła sensacyjnego wątku dotyczącego nieznanej działalności siatki wywiadowczej. Warto więc przybliżyć te relację:

„Od kiedy była Raszowa, zawsze był zamek. W tamtych czasach wiele budynków na wyrost określano jako zamki, co było dużą nadinterpretacją. Ale nasz zamek był zamkiem, choć de facto zwano go pałacem. Uważaliśmy, że brakuje mu swoistego, starego stylu.

W miejscu starego zamku wybudowano nowy obiekt. Brak patyny starości zamkowej rekompensowany był przez lekkość i nowoczesność oraz komfort panujący w pałacu. Odbywało się tu wiele uroczystości, w tym pamiętane latami polowania. My, jako nastolatkowie, byliśmy oczarowani rozległym parkiem,

dużą ilością alejek i znajdującym się tutaj Mauzoleum rodu Hänsel. Kiedy alejki ogarniała ciemność, dawało się słyszeć – szczególnie w alei biegnącej z parku na cmentarz – jakby nawoływania: „chodź ze mną, chodź tutaj". Wydawało się nam, że czynią to sowy ukryte w koronach drzew. Podobnie jak w przypadku innych zamków, również ten nasz w Raszowej otoczony był szeroką fosą, która po zamarznięciu zimą była dla nas lodowiskiem i miejscem zimowych zabaw. Sam zamek nie miał jakiś starych tajemniczych części i jedynie ze starością kojarzyły się nam drogi dojazdowe wybrukowane przed wiekami. Mimo że nowy zamek odbudowano w czasie I wojny światowej, to już w roku 1937 zarządzający nim administratorzy mieli długi i w końcu nastąpiło rozparcelowanie majątku, przy czym pamiętam tylko, że dobra szlacheckie przejęło Śląskie Ziemskie Towarzystwo z Wrocławia. Z kolei grunty rolne, dobra leśne i ogrodnictwo nabył przemysłowiec z Górnego Śląska – niejaki Victor Novak. Po jego śmierci ziemski majątek wykupiła dyrekcja kolei III Rzeszy. W czasie drugiej wojny światowej też się wiele działo. Większość naszych ojców walczyła na froncie. Ci, co zostali, mieli więc dużo codziennych obowiązków. W samej wsi nie czuło się żadnego zagrożenia. Ale w pobliżu naszej wsi była niedaleko oddalona Raszówka (Vorderheide), w której były jakieś tajemnicze magazyny przemysłowe. Powszechnie mówiło się WIFO i mało kto we wsi wiedział, co ten skrót oznacza (Wirtschaftlische Forschungsgesellschaft). Zimą 1942/43 roku wydarzyło się coś, co doskonale pamiętam, bowiem za powstały incydent i za brak czujności obarczono odpowiedzialnością mieszkańców wsi. W samym pałacu od czasu do czasu pojawiali się różni goście. Była też pewna kobieta, która wynajęła pokoje. Nikt nie wiedział dokładnie, kim ona jest, więc po pewnym czasie zaczęto o niej mówić... pani X. Nie było to jakieś szczególne wydarzenie, bowiem tereny III Rzeszy były już bombardowane przez

Fragmenty pałacu w Raszowej.

alianckie samoloty i relokacja mieszkańców z zachodniej części Rzeszy na tereny spokojnego Śląska stawała się codziennością. Niebawem przybyli oddelegowani pracownicy Działu Kolei Żelaznych Ministerstwa Komunikacji Rzeszy.

We wsi mówiło się, że byli to ważni urzędnicy. I wtedy nagle coś się wydarzyło. Pewnego dnia w parku przypadkowo natknięto się na zamaskowaną kryjówkę, w której ukryta była... radiostacja i rewolwer! Szok był ogromny. Dowodzić to miało, że działają tutaj jacyś szpiedzy. Mieliśmy od razu najazd żandarmerii wojskowej i śledztwo w sprawie... dopuszczenia wroga do wsi! Nagle to nas obarczono winą za brak czujności. Żandarmeria postanowiła z oddali i z ukrycia rozpocząć stałą obserwację parkowej kryjówki. Trwało to wiele dni i nocy, ale nikt się nie pojawił. I wtedy przypomniano sobie tajemniczą panią X, która, o dziwo, ulotniła się z zamku, niczym przysłowiowa kamfora. Od razu Pani X została okrzyknięta poszukiwaną agentką. Panika była tak wielka, że po ciężkim dniu pracy musieliśmy być jeszcze czujni nocą w oczekiwaniu na... powrót szpiegów, którzy jednak nigdy już się nie pojawili. Czuliśmy, że władza nam nie dowierza. W końcu kryjówka w parku została rozebrana i wywieziona. Ale władze nadal nam przypominały, że cały ten incydent traktują w kategorii przestępstwa, stawiając zarzut dopuszczenia wroga na teren posiadłości pałacowej. Skutkowało to dosyć dziwnym zarządzeniem. Wytyczono tylko jedną ścieżkę, którą mogliśmy wchodzić do parku. Pani X nikt już więcej nie widział...".

Kres wojny

W związku z zagrożeniem ze strony zbliżającej się Armii Czerwonej, w dniu 27 stycznia 1945 roku urzędnicy kolejowi otrzymali rozkaz ewakuacji z Raszowej. Do końca wojny w zasadzie pałac był dozorowany. W maju do wsi weszli sowieccy żołnierze i ulokowali się w pałacu. Oskar Sperling wspomina, że kiedy latem jego rodzina opuszczała wieś, pałac został podpalony.

Skąd zatem pojawiła się inna informacja, że w styczniu 1945 roku pałac został zbombardowany?! Trochę to dziwne, jeśli po prostu postawimy pytanie – ile pałaców na Dolnym Śląsku zostało zbombardowanych? I mamy kłopot. Ot tak, po prostu – to trudno znaleźć taki pałac czy zamek. Nawet pięknie położony na wzgórzu zamek Książ, widoczny z daleka i objęty tajnymi pracami budowlanymi, >>>

Zamki i pałace Dolnego Śląska. Przedgórze Sudeckie, Nizina Śląska – część wschodnia.
Romuald Mariusz Łuczyński.
Piękne wydana publikacja poświęcona najpiękniejszym zamkom i pałacom Dolnego Śląska (33 obiekty z różnych epok). W szczegółowy sposób opisana została historia oraz wygląd poszczególnych budowli. Jej niewątpliwym atutem jest bogaty materiał ilustracyjny . Tekst został zredagowany w języku polskim i niemieckim.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

>>> nie został nawet porządnie ostrzelany przez sowieckich żołnierzy, a co dopiero zbombardowany. Ale był dewastowany, podpalany i niszczony w sposób okropny.

Może jakąś podpowiedzią będzie jednak tajemnicza Pani X? O ile sam pałac w Raszowej mógł być bazą dla agentki, to jednak nie celem działalności wywiadowczej. Czy zatem w okolicy było coś godnego uwagi? Warto wrócić do wspomnień Sperlinga i przypomnieć tajemniczy skrót WIFO. Otóż kilka kilometrów od pałacu znajdowała się Raszówka. Już przed II wojną światową w pobliskim lesie wybudowano bazę paliwową oraz magazyn część zapasowych dla samolotów. Sama baza zajmowała blisko 25 hektarów. Tutaj w 12 zbiornikach naziemnych(!) – każdy o pojemności 60 tysięcy litrów – magazynowano paliwo lotnicze.

Trudno powiedzieć, czy ta ważna baza paliwowa była w planie do zbombardowania przez samoloty radzieckie. Wtedy jakaś zabłąkana bomba mogła przypadkowa spaść wcześniej na pałac w Raszowej, ale to tylko moja hipoteza. Trzeba pamiętać, że zaraz po zakończeniu wojny baza została jednak natychmiast przejęta przez Rosjan i rozbudowana na powierzchni aż 65 hektarów (635 obiektów magazynowych różnej wielkości) – dla potrzeb Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. Czy był zatem sens jej wcześniejszego zniszczenia?

Służby konserwatorskie

Mamy do czynienia z obiektem zabytkowym, który ostał się jedynie w kartotekach służb konserwatorskich. Czy tam znajduje się rozwiązanie mojej zagadki – dlaczego zniknął z powierzchni pałac Raszowa? Dziś we wsi pozostał tylko fragment jednej ściany.

Ze strony pracowników służb konserwatorskich okazano mi wiele życzliwości, bym mógł poznać powojenne zapisy dotyczące pałacu.

Najważniejsza jest karta obiektu zabytkowego:

– nr obiektu – 6110 (w 1961 roku – nr 957),

– pałac barokowy – kubatura 4800 m³,

– powierzchnia – 600 m²,

– ściany z cegły,

– stropy i wiązania dachu z drewna,

– ogród – 4 ha,

– grunty uprawne – 3 ha.

Według oceny dokonanej w grudniu 1945 roku pałac był w 75% zrujnowany! Pozostały jeszcze ciekawe zapiski dotyczące sklepień kolebkowych i gwiaździstych, portalu oraz bogato zdobionego frontonu w stylu barokowym. Zapisy potwierdzają, że pałac był strasznie zniszczony, co nie może dziwić, bo przecież tylko ściany były z cegły. Należy więc skłaniać się do wspomnień Niemców, którzy zapamiętali, że pałac spłonął letnią porą.

W następnej opinii służb konserwatorskich z lipca 1966 roku mamy krótki zapis: ruina!

Zachowały się tylko nieliczne zdjęcia z 1959 roku. Choć pałac był już mocno zniszczony, to jednak nadal bronił się swym pięknem i barokowym stylem.

Grobowiec rodziny Nowack. To ta rodzina w 1937 stała się właścicielem terenów leśnych i ogrodnictwa w Raszowej.

W artykule wykorzystano informacje z:

www.lueben-damals.de

www.raszowka.info/owsi.html

Autor składa serdeczne podziękowania pracownikom Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków we Wrocławiu – z delegatur w Legnicy i w Wałbrzychu- za okazaną pomoc, udostępnione materiały i zdjęcia dla potrzeb niniejszego artykułu. <

Romuald Owczarek

Zapomniane miejsca Dolnego Śląska Nizina Śląska cz. 2 – przewodnik. Jakub Jagiełło

Na Dolnym Śląsku ilość zrujnowanych zabytków jest wprost zatrważająca. To już czwarty tom dedykowany temu regionowi (w planach jeszcze jeden) i zarazem drugi poświęcony Nizinie Śląskiej.

Przewodnik poprowadzi Czytelnika do miejsc, których „się nie zwiedza" i „się nie opisuje". Zrujnowane pałace, zamki i dwory, budynki fabryczne, opuszczone kościoły, cmentarze ewangelickie, fortyfikacje, bunkry Armii Radzieckiej, dziwne pomniki, zabytki techniki. Opisano 114 tego typu miejsc.

Część pierwsza obejmuje północno-zachodni obszar województwa dolnośląskiego.

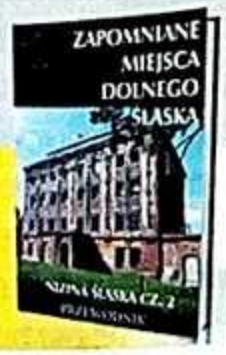

Zamów na www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

MUZEUM NIE TYLKO ORĘŻA...

ALEKSANDER OSTASZ

W 2017 roku Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu przeprowadziło szereg akcji wydobywczych, które wzbogaciły zasoby tej instytucji oraz pogłębiły wiedzę na temat historii lokalnej miasta i najbliższych okolic.

Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu [w dalszej części Muzeum – przyp. red.] to instytucja z ponad 50-letnią tradycją, która posiada unikatowe zbiory na skalę Polski i Europy. To jedno z największych polskich muzeów wojskowych, które odwiedza każdego roku ponad 140 tysięcy osób. Wystawa Dzieje Oręża Polskiego prezentuje jeden z najbogatszych w kraju zbiorów mundurów i wyposażenia wojskowego. Muzeum posiada unikatowe zabytki, takie jak pistolet maszynowy „Błyskawica", maszynę szyfrującą „Enigma", działający motocykl „Sokół", a także wiele innych pojazdów wojskowych, w tym sprawne działo samobieżne SU-57 czy wyremontowany i uruchomiony w 2017 roku czołg T34–85. W zbiorach Muzeum znajduje się także niemiecki czołg Pz.Kpfw. IV Ausf. J z armatą 75 mm KwK 40L/48. Obecnie jest to jedyny oryginalny i prawie kompletny niemiecki czołg z okresu II wojny światowej, który można zobaczyć w polskim muzeum. Jest to też jedyny niemiecki czołg, który brał udział w walkach na terenach obecnej Polski i dotrwał do naszych czasów. Muzeum słynie również z akcji poszukiwawczych i wydobywczych prowadzonych na terenie Pomorza Zachodniego. Pod tym względem rok 2017 był dla tej instytucji szczególnie aktywny. Warto pokrótce przypomnieć nasze najważniejsze działania i ich efekty.

Jednym z cenniejszych zbiorów MOP w Kołobrzegu jest niemiecki czołg Pzkfw IV.

Kübelwagen

W lutym 2017 roku Muzeum, po zgłoszeniu dokonanym przez lokalnego pasjonata historii Pana Radosława Krzeszowca z Pobierowa, przy współpracy z Urzędem Morskim w Szczecinie, przeprowadziło operację wydobycia pozostałości niemieckiego samochodu osobowo-terenowego typu Kübelwagen. Wrak został odkryty po sztormach na plaży w pobliżu Pobierowa. Porzucony w 1945 roku pojazd do naszych czasów dotrwał w bardzo złym stanie. Zachowała się rama pojazdu, obie osie z piastami wraz z łączącym je elementem karoserii w kształcie spłaszczonej z jednej strony rury, pedały gazu, hamulca i sprzęgła, podstawa kolumny

fot. Radosław Horanin/Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu

kierownicy z drążkami kierowniczymi oraz kątownik wzmacniający dno z boków. Elementy te po wydobyciu zostały poddane konserwacji, w trakcie której znaleziono tabliczkę znamionową ze słabo niestety widocznymi napisami. Obecnie wrak stanowi część dioramy „Kołobrzeg 1945 – Ostatni Bój", znajdującej się na wystawie głównej. Prace wydobywcze były możliwe dzięki pomocy i zaangażowaniu Urzędu Morskiego w Szczecinie, firmy „Trans Hol Adam Molis" oraz sympatyków Muzeum.

Wrak z Podczela

W 2017 roku zimowe sztormy odsłoniły na plaży w Podczelu (na wschód od Kołobrzegu) wrak nieznanej jednostki pływającej. Od 16 do 18 lutego Muzeum, przy współpracy Urzędu Morskiego w Słupsku, a zwłaszcza Obwodu Ochrony Wybrzeża w Ustroniu Morskim, Portowej Ochotniczej Straży Pożarnej „Tryton", Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji w Kołobrzegu, Grupy Eksploracyjno-Poszukiwawczej „Parsęta", wchodzącej w skład Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Oręża Polskiego, firmy Pomoc Drogowa Adam Molis i Hydrobudowa Kołobrzeg (Adam i Dariusz Dzik) prowadziło prace wydobywcze. Trzydniowa akcja zakończyła się wydobyciem wraku niemieckiej jednostki pomocniczej Kriegsmarine, pierwotnie obsługującej torpedownię Babie Doły w Gdyni.

Wrak, którego tylko niewielka część wystawała nad powierzchnię plaży, najpierw trzeba było odkopać, wypompować wodę z powstałego zbiornika oraz zabezpieczyć przed naporem morskich fal. Przed podniesieniem konieczne było wypłukanie piachu z wnętrza jednostki. Do tego zadania okazał się niezbędny sprzęt ciężki. Koparki Urzędu Morskiego niestety okazały się za słabe. Olbrzymia koparko-ładowarka firmy Hydrobud sprawdziła się za to doskonale. Prace musiały zakończyć się w sobotę, gdyż w niedzielę spodziewano się sztormu; fale zalałyby wykop i na powrót zasypały piaskiem wrak. W sobotę 18 lutego 2017 roku, po wypompowaniu wody przez strażaków, firma Hydrobudowa wydobywała wrak przez ponad 3 godziny. Z jednostki udało się uzyskać szereg ciekawych przedmiotów, m.in. butlę rozruchową do silnika, pompę zęzową, dwie latarnie, narzędzia oraz wiele innych drobnych elementów. Na butli rozruchowej do silnika odkryto datę 21.10.1942 rok oraz symbol „M" (jak Marine), oznaczające produkcję dla Kriegsmarine. Kolejnej atestacji nie było. Znalezione niemieckie łuski we wnętrzu mogą świadczyć o tym, że w 1945 roku z jednostki prowadzono ostrzał do nacierających jednostek Armii Czerwonej oraz Wojska Polskiego. Takimi jednostkami ewakuowali się Niemcy w 1945 roku, do czasu gdy lotnisko Bagicz oraz Kołobrzeg jeszcze znajdowały się w ich rękach. Znalezione wewnątrz sowieckie łuski mogą >>>

Odsłonięte na plaży fragmenty podwozia samochodu osobowo-terenowego Kübelwagen.

Akcja wydobycia wraku niemieckiej jednostki pomocniczej Kriegsmarine, który w końcowym etapie walk o Kołobrzeg stał się punktem ogniowym dla atakujących miasto i port Rosjan.

Podstawa niemieckiego działka przeciwlotniczego MG-151/20 „Drilling" po wydobyciu trafiła do Muzeum.

>>> z kolei świadczyć, że jednostka po wyrzuceniu na plażę stała się dającym osłonę punktem ogniowym, z którego prowadzili ostrzał Rosjanie do znajdujących się na morzu okrętów niemieckich.

Długość wydobytej jednostki liczyła 18 metrów. Jej napęd stanowił silnik wysokoprężny (diesel) produkcji hamburskiej firmy Motoren-Fabrik Carl Jastram. Wydobyte eksponaty razem z silnikiem jednostki, wałem oraz śrubą trafiły do Skansenu Morskiego w Kołobrzegu.

Szczątki żołnierzy pruskich odnalezione podczas budowy autostrady S6.

Szkielety z S6

Podczas ratowniczych wykopalisk archeologicznych, realizowanych przez archeologów z Łodzi (Pracownia Archeologiczno-Konserwatorska „Barta"), na zlecenie Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad, w ramach przebiegu węzła drogi ekspresowej S6, na obszarze 143 arów znaleziono m.in. osadę ludności kultury wielbarskiej oraz liczne obiekty nowożytne. Dużą niespodzianką było odkrycie dwóch jam grobowych z pochówkami zbiorowymi kilkadziesiąt metrów od drogi wojewódzkiej nr 162. W jednej z jam odkryto 3 szkielety, w drugiej 6. Ze względu na wyposażenie grobów (guziki mundurowe) można z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że odkryto pochówek żołnierzy armii pruskiej. Szkielety znajdowały się w płytkim grobie, na poziomie 40 cm poniżej poziomu gleby. Łącznie odkryto szczątki 9 żołnierzy. Zostali pochowani godnie, jeden obok drugiego. Dzięki współpracy ze wspomnianą już Grupą Eksploracyjno-Poszukiwawczą „Parsęta" udało się odnaleźć kule, które tkwiły wśród szczątków żołnierzy, guziki, elementy pasów, a także skałkę od muszkietu. Aby dowiedzieć się więcej o ludziach, którzy najprawdopodobniej pełnili służbę dla króla pruskiego, podjęto decyzję, że badania szczątków przeprowadzi dr Andrzej Ossowski z Zakładu Genetyki Sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, zajmujący się m.in. projektem „Polska Baza Genetyczna Ofiar Totalitaryzmów". Wszystkie zabytki wydobyte podczas badań będzie można zobaczyć w Muzeum Miasta Kołobrzeg (oddział Muzeum Oręża Polskiego), a szczątki zostaną pochowane w Kołobrzegu.

„Drilling" z Pniewa

Na początku 2017 roku do Muzeum dotarła informacja od lokalnych pasjonatów historii o militarnych pozostałościach, znajdowanych na terenie nieistniejącego niemieckiego lotniska Pinnow (Pniewo) w okolicy Rzesznikowa. Obiekt ten powstał w latach 1934–36 jako zapasowe lotnisko dla bazy lotniczej w Bagiczu. We wrześniu 1939 roku stacjonujące tu niemieckie samoloty bombardowały Polskę, w tym Westerplatte. W marcu 1945 roku lotnisko zostało zajęte przez oddziały Armii Czerwonej, idące na Kołobrzeg. Brak jest bliższych informacji na temat, czy toczyły się na nim jakieś cięższe walki. Przez wiele lat po wojnie miejscowa ludność penetrowała jego obszar, zabierając wszystkie przydatne elementy do swoich gospodarstw. Zniszczeniu i rozebraniu uległy wszystkie budynki, hangary oraz cała infrastruktura lotniskowa. Nasadzenie drzew przez Lasy Państwowe spowodowało, że obecnie nic nie wskazuje na to, że kiedyś było tu lotnisko.

Po zdobyciu wszystkich pozwoleń Muzeum wraz z Grupą Eksploracyjno-Poszukiwawczą „Parsęta", przy współpracy lokalnych pasjonatów historii oraz pod nadzorem dr. Andrzeja Ossowskiego z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, przystąpiło do prac poszukiwawczych. W miejscu wskazanym przez lokalnych pasjonatów historii natrafiono na zabetonowaną podstawę niemieckiego działka przeciwlotniczego MG 151/20 (Drilling). Wokół odnaleziono zniszczone pozostałości tej broni, jak i wiele innych elementów wyposażenia wojskowego.

Eksploracje morskie

Od 2016 roku Muzeum realizuje projekt „Wraki Kołobrzegu". To inicjatywa badawcza, mająca na celu rozpoznanie wód morskich w pobliżu Kołobrzegu pod kątem występowania stanowisk archeologicznych oraz historycznych wraków. Kołobrzeg, ze względu na swoje położenie w środkowej części południowego wybrzeża Bałtyku, stanowił od zarania dziejów ważny ośrodek handlowy. Podczas II wojny światowej jego port był niemiecką bazą morską, a w 1945 roku spełniał rolę punktu ewakuacyjnego. Od 2016 roku Muzeum prowadzi systematyczne badania pod kątem lokalizacji i ewidencji podwodnych stanowisk wrakowych. W 2016 roku przebadało kilka potencjalnych podwodnych stanowisk archeologicznych oraz wrak niemieckiego promu desantowego F 193.

W 2017 roku w ramach projektu „Wraki Kołobrzegu 2017" Muzeum prowadziło prace na 3 stanowiskach:

fot. Radosław Horanin/Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu

Podwodne zdjęcie miejsca wydobycia kotwicy, prezentowanej obecnie w Skansenie Morskim (po lewej).

Wrak nr 2, badany w ramach akcji „Wraki Kołobrzegu 2017" (po prawej).

a) „Kotwica" – obok której leżał 14-metrowy, zerwany łańcuch kotwiczny; sam trzon stalowej kotwicy był zgięty. Obecnie wydobyta i zakonserwowana kotwica jest prezentowana w Skansenie Morskim.

b) Wrak nr 2 – stalowy wrak, znajdujący się po zachodniej stronie od wejścia do portu w Kołobrzegu. Pozycję wraku udostępnił Muzeum Instytut Morski w Gdańsku. Na wraku znajduje się kilka luźnych elementów, takich jak winda kotwiczna czy polery cumownicze, które trafią do Skansenu Morskiego w Kołobrzegu. Wykonano profesjonalną dokumentację fotogrametryczną.

c) Wrak nr 1 – po szczegółowych oględzinach wraku niemieckiego promu desantowego F 193 odnaleziono francuską armatę polową wz. 1897 na podstawie morskiej. 75 mm armat Schneider wz. 97 używało Wojsko Polskie we wrześniu 1939 roku. Były montowane m.in. na szkolnej jednostce ORP „Mazur", kanonierkach ORP „Komendant Piłsudski" i ORP „Generał Haller", trałowcach ORP „Żuraw" i ORP „Czapla", monitorach rzecznych ORP „Warszawa", „Horodyszcz", „Pińsk", „Toruń". Stanowiły również uzbrojenie improwizowanych pociągów pancernych Lądowej Obrony Wybrzeża i baterii przeciwdesantowych artylerii nadbrzeżnej.

18 grudnia 2017 roku w ramach projektu „Wraki Kołobrzegu 2017" Muzeum z partnerami wydobyło 75 mm armatę Schneider wz.97 na podstawie morskiej. Po zajęciu Polski w 1939 roku Niemcy całe zdobyczne uzbrojenie nadające się do użytku demontowali i składowali w magazynach. Podczas kolejnych kampanii mogli uzupełniać nimi frontowe straty. O polskim pochodzeniu odnalezionej armaty świadczyć może informacja zawarta w niemieckiej instrukcji obsługi promów z 1943 roku. W załączonym do niej wykazie uzbrojenia wyszczególniona jest 75 mm armata wz. 97 (Polska).

75 mm armata Schneider wz. 97.

Akcja wydobycia armaty odbyła się pod patronatem Ministra Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej Marka Gróbarczyka oraz Starosty Kołobrzeskiego Tomasza Tamborskiego. Sponsorem głównym podwodnych badań w 2017 roku była firma Tecline.

Ze szczegółami wszystkich wymienionych akcji, a także bieżących działań podejmowanych przez Muzeum uczestnicy tegorocznej konferencji popularnonaukowej „Odkrywcy" będą mieli okazję zapoznać się zarówno podczas przygotowanej na tę okazję prelekcji, jak i przewidzianego w programie zwiedzania poszczególnych oddziałów naszej instytucji. Serdecznie zapraszam.

APEL

Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu zaprasza do współpracy wszystkie osoby, posiadające informacje o nieodkrytych samolotach, czołgach lub innych obiektach, które powinny znaleźć się w polskich muzeach.

Prosimy o kontakt:
alekost@wp.pl, tel. 601 402 400.

Aleksander Ostasz
Dyrektor Muzeum Oręża Polskiego. Historyk, archeolog podwodny, dziennikarz, założyciel miesięcznika „Nurkowanie". Inicjator i uczestnik licznych akcji poszukiwawczych. Rzeczoznawca Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w zakresie opieki nad zabytkami.

NA RUBIEŻACH RIESE

RAFAŁ JANUSZKIEWICZ

O linii umocnień ciągnącej się przez 20 km od miejscowości Jodłownik aż do Bystrzycy Górnej wobec rzekomych tajemnic „Riese" mało dziś kto pamięta. A są to rejony wymarzone dla eksploratorów.

Jak tu nie pisać o „Riese", skoro mieszkając w cieniu Gór Sowich, dorastając wśród legend i opowieści człowiek nasiąknął nimi jak gąbka i gdyby go wycisnąć, to powypadałyby z pamięci przekazy o polowaniu na amerykańskich spadochroniarzy zakończonym strzelaniną z Sowietami w rejonie Przełęczy Jugowskiej, o kablach pod napięciem biegnących w kierunku gór ze stacji trafo bielawskich zakładów... Jedna z takich opowieści dotyczyła okopów w górach, jakich pełno od strony Bielawy. Przeskoczmy zatem w czasie do lipca 1944 roku...

„Langenbielau, 10 lipca 1944 roku
Pani Kathe Kronig
Rheydt, Gartenstrasse 187

Droga i Szanowna Pani.

Że Heiner zamierza pokazać się u nas, to oczywiście radość. (...) Ale jednak – rada – jeśli chłopiec planuje wędrówkę przez Góry Sowie. Pewne odcinki są tam na razie zamknięte z powodu pilnych robót budowlanych. Na wszelki wypadek postarać się trzeba

fot. MON, Rafał Januszkiewicz

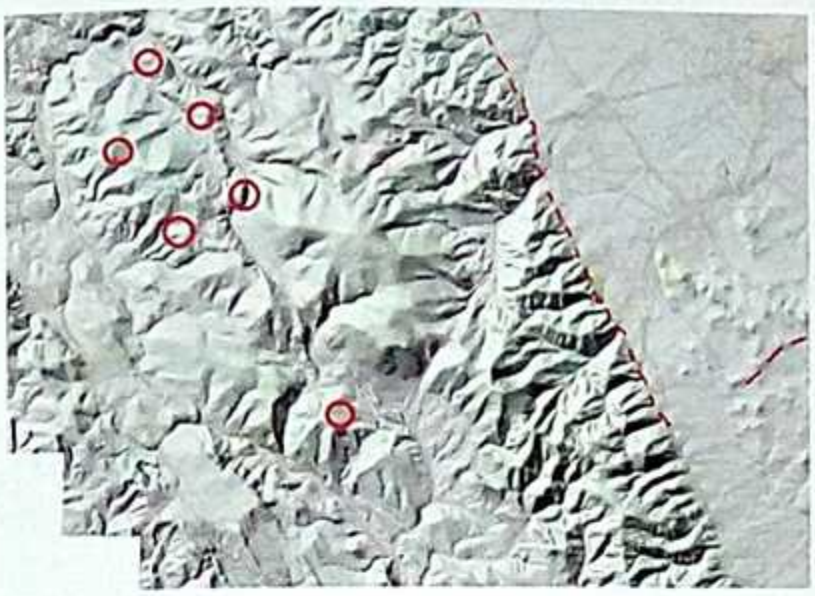

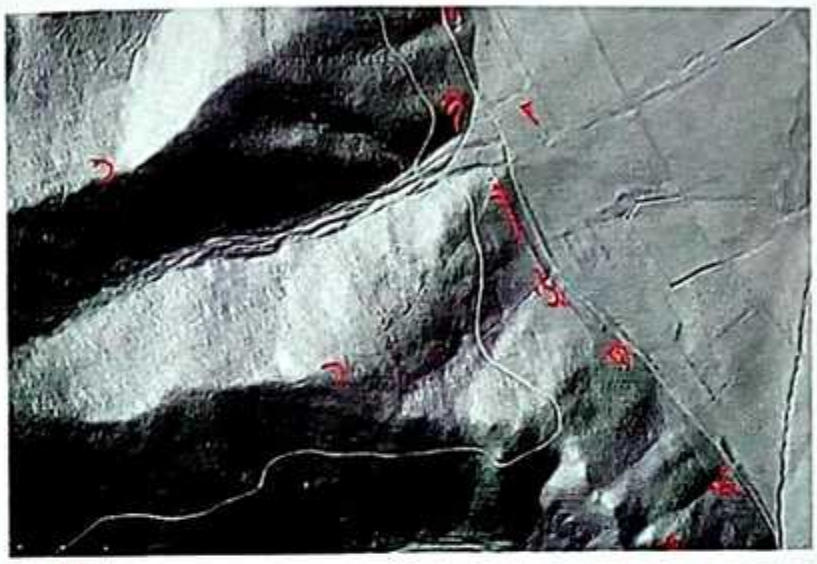

Góry Sowie, linią przerywaną zaznaczono przebieg umocnień, okręgi oznaczają lokalizacje obiektów „Riese".
Wschodnie zbocza Gór Sowich w rejonie Bielawy na mapie lidar. Na czerwono zaznaczono obrys okopów i umocnień.

o przepustkę, nieodzowną, w razie zatrzymania. (...)".

Tak pisał do przyjaciół Gottfried Dierig, dyrektor generalny i jeden z właścicieli rodzinnej firmy włókienniczej „Christian Dierig Aktiengesellschaft" w Bielawie na Dolnym Śląsku. Najgrubsza z grubych ryb wśród przemysłowców III Rzeszy. Dyrektor Grupy Przemysłowej Niemieckiej Rzeszy skupiającej ważne strategicznie przedsiębiorstwa, podległy bezpośrednio Hermannowi Göringowi. Korespondował jak równy z równym z zarządem Deutsche Banku, dawał „zatrudnienie" tysiącom więźniów okolicznych obozów pracy – filii Gross-Rosen. Skoro dla takiej osoby załatwienie przepustki w Góry Sowie było kłopotliwe – bo inaczej w ogóle by o tym nie wspominał, a bez przepustki wejście na obszar gór czymś absolutnie nie do pomyślenia – znaczy to, że teren Gór Sowich już w 1944 roku był jednym z lepiej strzeżonych obszarów na terenie III Rzeszy. Dopóki tajemnicy strzegły duże odległości od frontów pilnowano samych gór. Sytuacja dramatycznie się zmieniła na początku 1945 roku.

W połowie lutego 1945 roku Armia Czerwona domknęła okrążenie Wrocławia i rozpoczęło się słynne oblężenie Festung Breslau. Wydawać by się mogło, że w takich okolicznościach odległe o około 40 km od pozycji wojsk radzieckich tereny Gór Sowich będą co najwyżej świadkiem ewakuacji i zabezpieczeń obiektów wojskowych i przemysłowych. Nic bardziej mylnego.

W tym czasie na terenie całego Kreis Reichenbach (powiatu dzierżoniowskiego) sytuacja przywodziła na myśl rozdeptane >>>

Linia rowu strzeleckiego. Po 70 latach trudna do wypatrzenia.

Współczesna mapa okolicy. W prawym górnym rogu wzgórze Wiewiórka.

Żołnierz 1 Pułku Saperów im.Tadeusza Kościuszki z Brzegu podczas rozminowania mostu.

Most na rzece Piławie w Dzierżoniowie w trakcie rozminowania. U dołu widoczne odsłonięte ładunki wybuchowe.

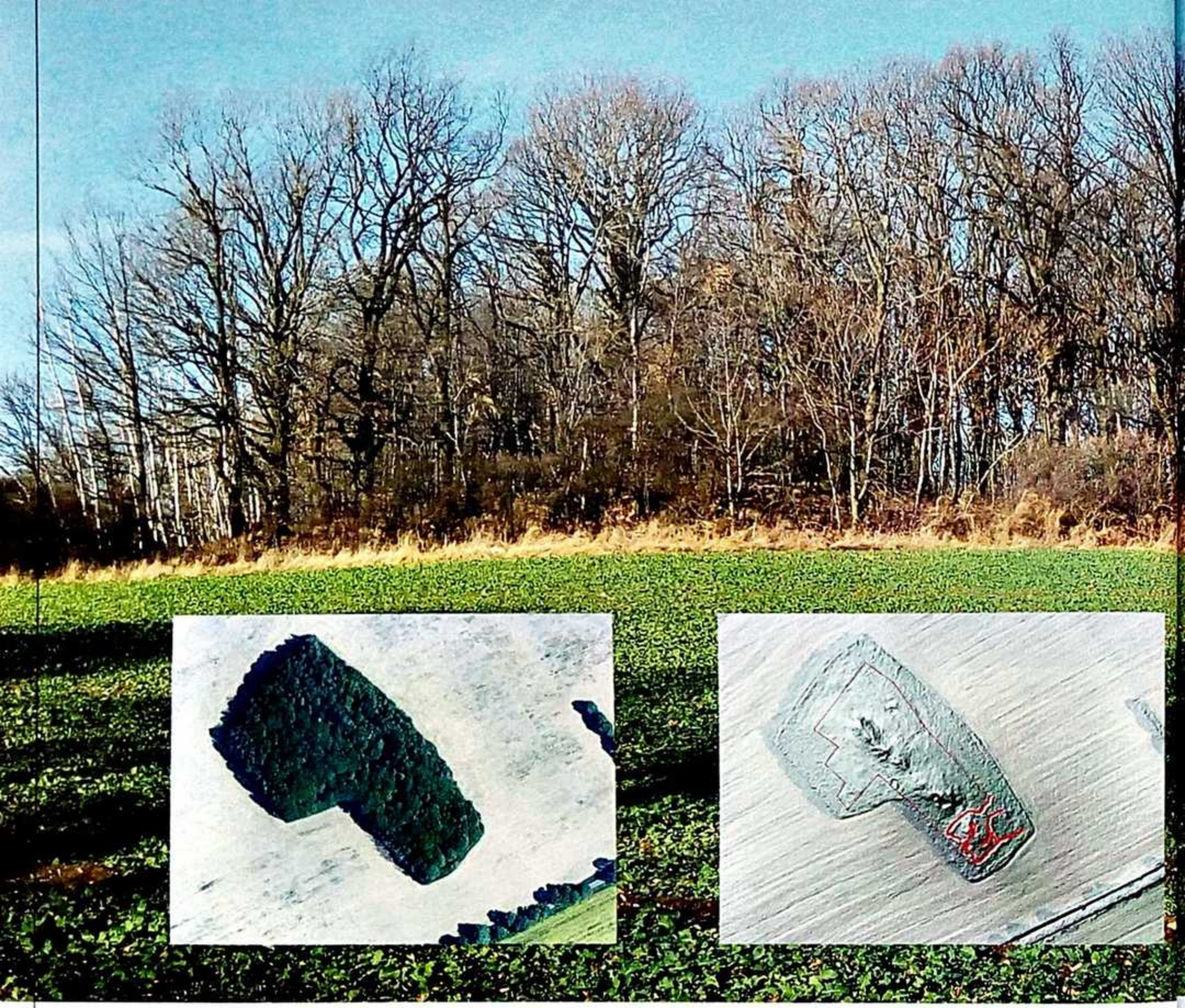

Wzgórze Wiewiórka na zdjęciu satelitarnym.

>>> mrowisko. Przez okoliczne miasteczka przewalały się przeróżne jednostki wojskowe, na bieżąco były uzupełniane i kierowane z powrotem na front. Sytuacja była tak wyjątkowa, że czołgi słynnej z błyskawicznego podboju Francji 7 dywizji pancernej zwanej „Dywizjonem Duchów" (die Gespenster Division) były tutaj naprawiane przez bielawskich i pieszyckich kowali. Dołożyć do tego należy duże transporty jeńców i więźniów z całej Europy, tłumy uchodźców i masowe dezercje kończone często doraźnym sądem i przykładowymi egzekucjami. I w takiej to sytuacji pada rozkaz ufortyfikowania całej okolicy. Tysiące niewolników z obozów Sportschulle Langenbielau I i II oraz z innych doraźnych miejsc zakwaterowania porzucają pracę w zakładach zbrojeniowych Dzierżoniowa i Bielawy i są kierowane w Góry Sowie do kopania okopów, rowów strzeleckich i stanowisk ogniowych.

Powstaje linia umocnień ciągnąca się przez 20 km od miejscowości Jodłownik aż do Bystrzycy Górnej. Drogi dojazdowe do rejonu Gór Sowich są zabezpieczane potrójnymi stanowiskami obronnymi. Kopane są rowy przeciwczołgowe, zaminowano wszystkie mosty na rzece Piławie, wiadukty kolejowe, obiekty inżynieryjne. Zamiast skupiać się na produkcji zbrojeniowej, gdzie każdy nabój był na wagę złota, poświęcono 2–3 miesiące intensywnej pracy, i to na sam koniec wojny, na zamknięcie dostępu do… no właśnie czego? Do pustych sztolni wykutych w surowej skale?

Czy coś pozostało z ówczesnych umocnień? Okazuje się, że bardzo dużo, aż… za dużo. 8 listopada 2017 roku 1/3 Dzierżoniowa została zablokowana z powodu rozminowywania mostu na ul. Sienkiewicza przez specjalistów z 1 Pułku Saperów im. Tadeusza Kościuszki

fot. Rafał Januszkiewicz

U bram Riese. Produkcja zbrojeniowa III Rzeszy w rejonie Gór Sowich. Romuald Owczarek

Publikacja ta jest efektem wielu lat badań, które były prowadzone przede wszystkim w archiwach, ale także w terenie. Przedstawia ona zupełnie nieznaną historię wojennych zmagań niemieckich koncernów zbrojeniowych w rejonie Gór Sowich oraz ich powojenne losy.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

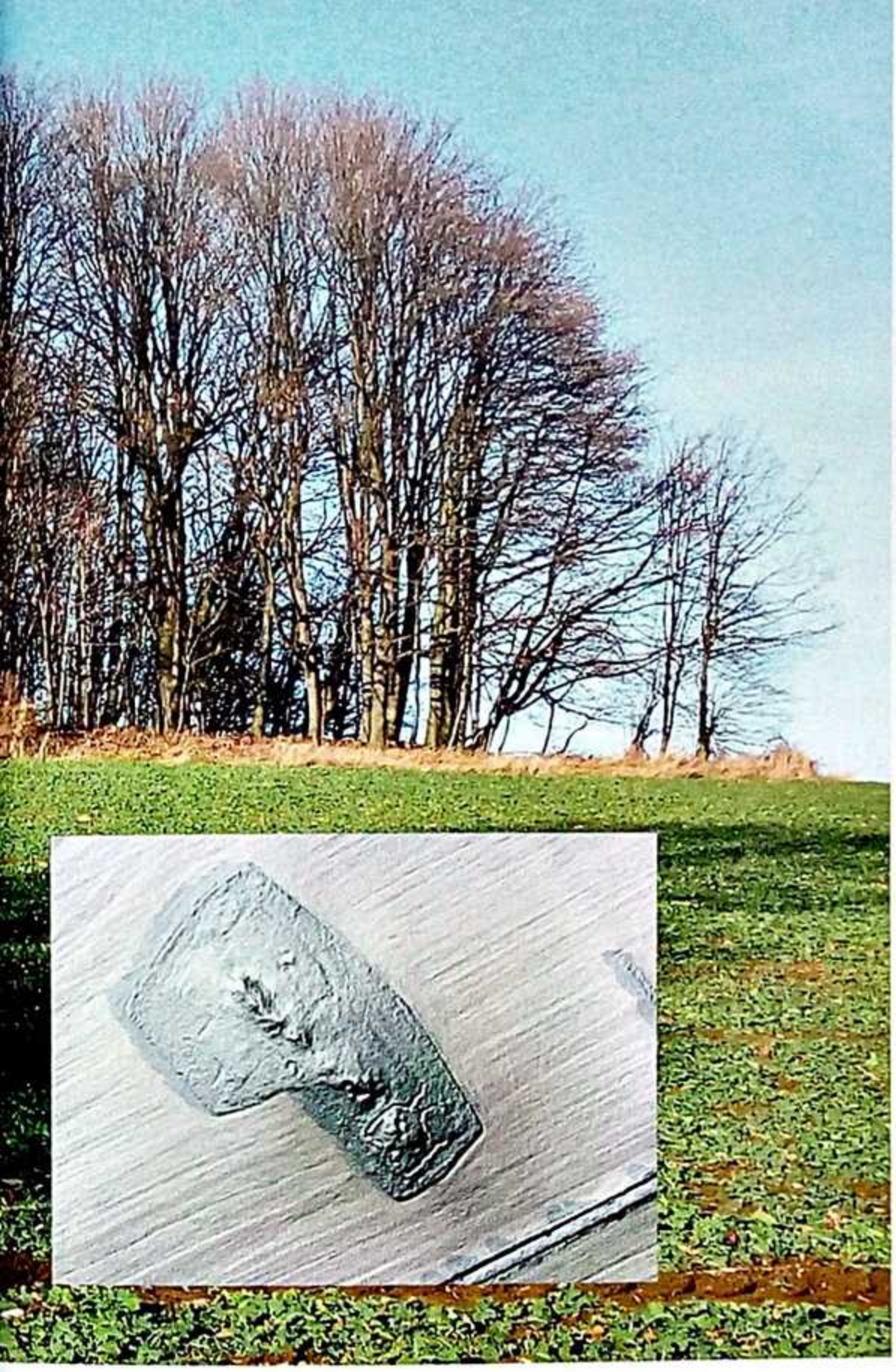

Wzgórze widziane z drogi.

Zdjęcie z podkreślonymi interesującymi nas detalami.

To samo wzgórze na zdjęciu lidar. Widać linie umocnień i ślad po ogrodzeniu?

z Brzegu. W trakcie wydobywania z konstrukcji mostu około 200 kg trotylu ewakuowano okolicznych mieszkańców. Zamknięto wszystkie przyległe drogi, paraliżując na długo komunikację miejską. Kilkanaście lat wcześniej taka sama akcja odbywała się na wiadukcie kolejowym położonym na wylotówce z Dzierżoniowa do Ząbkowic. Jeszcze kilkanaście lat wcześniej rozminowano duży most w rejonie młyna w Dzierżoniowie. Zapewne można spodziewać się podobnych „atrakcji" w przyszłości, kiedy przyjdzie pora na remonty kolejnych mostów [w lutym 2018 roku podczas prac remontowych mostu na ul. Sienkiewicza w Dzierżoniowie ponownie wykryto materiały wybuchowe – przyp. redakcji].

Natomiast okopy w terenie wyglądają bardzo niepozornie. Przez 70 lat przyroda zrobiła swoje. Są spłycone, często zarośnięte chaszczami i młodym lasem. Całą swą okazałość prezentują dopiero na mapach powstałych ze skanowania laserowego powierzchni ziemi (lidar). Umocnienia ciągną się kilometrami wzdłuż wschodnich stoków Gór Sowich. Każda dolina od wylotu Przełęczy Woliborskiej w rejonie Jodłownika, aż do końca gór w rejonie Bystrzycy Górnej jest strzeżona przez stanowiska przy wlotach, a niektóre posiadają dodatkowe punkty ogniowe w głębi gór, po obydwu stronach zboczy. Ponadto drogi dojazdowe do gór również posiadają punkty klinujące dostęp.

Przyglądamy się jednemu z nich, ulokowanego na wzgórzu o wdzięcznej nazwie „Wiewiórka". Jest złożony z rowów strzeleckich skierowanych w stronę drogi Piława-Jodłownik-Przełęcz Woliborska-Nowa Ruda. Okopy dodatkowo otaczają większe zagłębienie umocnione dodatkowo ziemią z wyrobiska, zapewne miejsce przygotowane dla stanowiska moździerzy. Tego typu konstrukcje powstawały od stycznia do kwietnia 1945 roku. Przy wznoszeniu tych umocnień pracowało setki niewolników i robotników przymusowych. Według relacji wielu z nich zmarło, początkowo zwłoki były przywożone do obozu Sportschulle, potem zmarłych grzebano na miejscu przy okopach.

Zwiedzając „Riese", takie sztandarowe obiekty jak Soboń, Rzeczka, pamiętajmy o tym, że wokół nich jest bardzo dużo poniemieckich pozostałości o charakterze militarnym. Zapewne jednak wzbudzą zainteresowanie wyłącznie koneserów, czyli m.in. czytelników „Odkrywcy".

Rafał Januszkiewicz

Inżynier budownictwa, pracuje i mieszka w Bielawie u podnóża Gór Sowich. Autor publikacji internetowych o historii i ciekawostkach rejonu Bielawy.

SZCZOTECZKA DO ZĘBÓW

MAŁGORZATA JARACZEWSKA

Co można było odczytać z sygnatury na plastikowej rączce i do jakiej dzielnicy oraz budynku Breslau ono doprowadziło?

Codziennie każdy mieszkaniec Wrocławia napotyka ślady dawnego Breslau. Najbardziej spektakularne są obiekty architektoniczne, zdarzają się także malowidła, stare kafelki czy włączniki świateł. Do tego jesteśmy przyzwyczajeni w każdym większym mieście. A co z przedmiotami, których używa się codziennie? Jest we Wrocławiu kilka miejsc, gdzie wciąż można odnaleźć pozostałości rzeczy używanych np. do osobistej pielęgnacji.

W Lesie Rakowieckim we Wrocławiu całkiem niedawno musiano utwardzać jedną z dróg spacerowych. Podczas spaceru, którego celem było rozpoznanie i zobaczenie stanowisk baterii przeciwlotniczych z II wojny światowej, a więc niemałego obiektu, wśród hałdy gruzu wystawał kawałek pomarańczowego trzonka. Po wyjęciu z ziemi okazało się, że jest to stara, przedwojenna szczoteczka do zębów. Niestety nie wiadomo dokładnie w jakich okolicznościach znalazła się w tym miejscu. Można tylko przypuszczać, że są to pozostałości po oblężeniu miasta z 1945 roku, ponieważ szczoteczka ewidentnie pochodzi z pierwszej połowy XX wieku.

Krótko o historii szczoteczek

O higienę jamy ustnej dbano już w starożytności za pomocą piór, lnianych nici czy drewnianych patyczków. Jednak szczoteczkę do zębów, jaką znamy i używamy dzisiaj, po raz pierwszy wynaleźli Chińczycy w XV wieku. Na masową skalę szczoteczki do zębów zaczęli produkować Amerykanie w latach 80. XIX wieku. Ówcześnie przyrządy do czyszczenia zębów wykonywane były z kości oraz włosów zwierzęcych. Szybko okazało się, że włókna pochodzenia

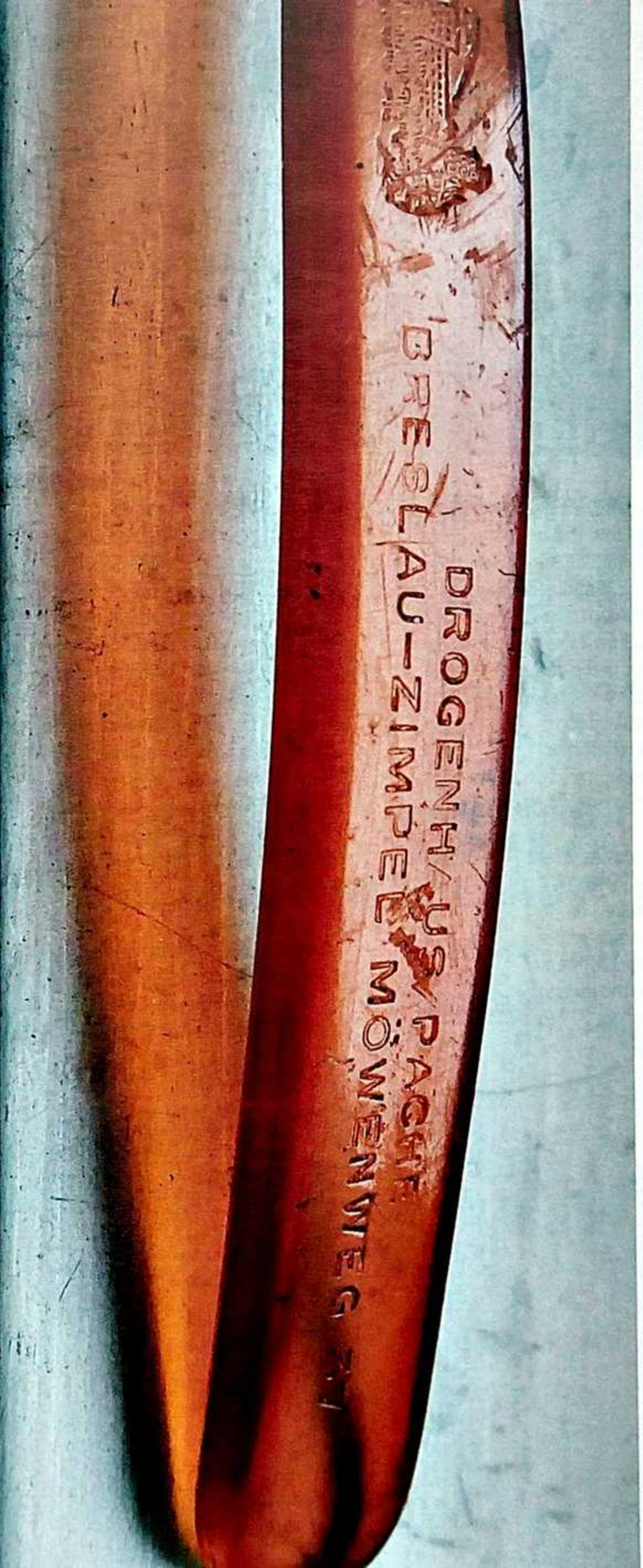

Trzonek szczoteczki z napisem „Drogenhaus Pache Breslau – Zimpel Möwenweg 37" wraz z grafiką.

zwierzęcego trzeba zamienić na sztuczne materiały. Na początku wieku XX wymieniono także kościany trzon szczoteczki na celuloidowy. Celuloid był o wiele łatwiejszy w obróbce i można mu było nadawać odpowiedni kształt. W 1935 roku Wallace Hume Carothers (amerykański chemik) wynalazł nylon, który zaczęto stosować jako włosie w szczoteczkach do zębów (pierwszy raz zastosowano go w 1938 roku). Wtedy też zmieniono kształt szczoteczek – trzon był długi i zaokrąglony, a nylonowe włoski równo układane. Od połowy lat 40. XX wieku, celuloid wymieniono na inne, mniej łatwopalne tworzywa do produkcji trzonów szczoteczek.

Sygnatura wiedzie na Sępolno

Wielu powiedziałoby, że to tylko zwykła, nieco większa niż obecnie, szczoteczka do zębów. Trudno się nie zgodzić, ale przecież ktoś tę szczoteczkę kupił, może w prezencie, może z innym przeznaczeniem, ale komuś służyła… Po dokładniejszym oczyszczeniu z ziemi ukazał się napis „Drogenhaus Pache Breslau – Zimpel Möwenweg 37" wraz z grafiką przedstawiającą budynek. O ile słowa są wyraźne, tak obiekt już niekoniecznie i nie ma pewności, czy to aby na pewno jest budynek… Czy we Wrocławiu były takie przed wojną? A może to tylko nic nieznaczący znak? I tu zaczyna się śledztwo. Odszyfrować tekst nie jest trudno, ponieważ Zimpel to przedwojenna nazwa Sępolna, osiedla wybudowanego w latach 20. i 30. XX wieku.

Do 1924 roku Sępolno było podwrocławską wsią, gdzie budowano już pierwsze domy szeregowe o dwóch kondygnacjach. W 1919 roku ukończono przekopywać kanał nawigacyjny i przeciwpowodziowy – to spowodowało, że wschodnia część miasta stała się atrakcyjna dla mieszkańców przeludnionego Wrocławia. Podstawowym celem budowy osiedla była popularna wówczas idea „miasta – ogrodu". >>>

fot. M. Jaraczewska

Mapa Sępolna oraz obecna ul. Partyzantów 37. Numeracja dotyczy sklepu mięsnego, jak i piekarni.

>>> Jednak Sępolno wyróżniało coś jeszcze – architektura. Przede wszystkim były to 4- lub 6-mieszkaniowe domy wolnostojące, domy jednorodzinne, a także szeregowce dla wielu rodzin. W samym środku znajduje się obszerny plac (ob. skwer Powstańców Warszawskich), zamknięty z dwóch stron szkołą zbudowaną w 1928 roku z czerwonej cegły i wybudowanym w latach 1932–1933 Kościołem Pamiątkowym Króla Gustawa Adolfa w stylu modernistycznym.

Osiedle wybudowały dwie spółki: „Siedlungsgesellschaft Breslau AG" (Towarzystwo Osiedlowe Wrocław AG) i „Gemeinnützige Aktiengesellschaft für Angestellten – Heimstätten GAGFAH" (Pracownicze Towarzystwo Akcyjne Ogólnej Użyteczności – Domostwa Rodzinne) na podstawie projektów Paula Heima, Hermanna Wahlicha, Alberta Kemptera i innych. Sępolno charakteryzuje także układ urbanistyczny, który najciekawiej widać ze zdjęć lotniczych, ponieważ osiedle wybudowane jest w kształcie orła. Jest wiele spekulacji na temat jego kształtu, z pewnością można wykluczyć herb Niemiec, w nim orzeł ma złożone skrzydła i ułożone wzdłuż tułowia.

„Drogenhaus" w języku niemieckim oznaczał sklep z artykułami do pielęgnacji ciała. Jak się okazało, następną wskazówką w poszukiwaniach był „Zimpel Möwenweg 37" – ponieważ to nic innego jak adres. Ulica „Möwenweg 37" to obecna ulica Partyzantów 37. Ciekawostką jest to, iż numeracja nie zmieniła się tu po wojnie. Dawniej sklepy bardzo często zamawiały przedmioty z własną sygnaturą. Na zdjęciu, zamieszczonym powyżej, widać budynek, w którym mieścił się pasaż handlowy wraz z „naszą" drogerią. Dzisiaj po drogerii śladu nie ma, lecz pozostał charakter zabudowy i wciąż możemy robić drobne zakupy w miejscu, w którym ktoś kiedyś nabył szczoteczkę. <

Fragment zdjęcia lotniczego Sępolna. Z tej perspektywy doskonale widać koncepcję miasta – ogrodu.

Małgorzata Jaraczewska
Wrocławianka, absolwentka Uniwersytetu Wrocławskiego na kierunku historia, wolontariuszka w Muzeum Polskiej Techniki Wojskowej.

fot. M. Jaraczewska, Wikipedia

W NIEWOLI U BRATANKÓW

PIOTR GALIK

Legioniści uwięzieni w Huszt podczas pracy przy budowie „plaży" – prowizorycznej łaźni, której pozbawiony był obóz

Uwięzienie i proces żołnierzy Polskiego Korpusu Posiłkowego w Austro-Węgrzech.

Bój pod Rarańczą, czyli zbrojne przejście części sił Polskiego Korpusu Posiłkowego na rosyjską stronę frontu nocą z 15 na 16 lutego 1918 roku, zakończył się niepowodzeniem dla wielu żołnierzy pułkownika Józefa Hallera. Szybka reakcja „trepów", jak w legionach nazywano cesarsko-królewskich wojaków, uniemożliwiła artylerzystom, taborom i pozostałym oddziałom PKP dołączenie do tej części piechoty, która zdołała przebić się na wschód. W nocnym zamieszaniu pewna liczba żołnierzy polskich rozproszyła się, unikając natychmiastowego aresztowania i rozbrojenia. Wielu z nich zdołało „zdemobilizować się po polsku", przedostając się pojedynczo lub w małych grupkach do nieodległej Małopolski Wschodniej, gdzie można było liczyć na schronienie u rodaków i pomoc organizacji konspiracyjnych. Rankiem 16 lutego w rękach niedawnych sojuszników, a obecnie wrogów, znalazło się około 900 legionistów, w tym blisko 100 oficerów i 3 sanitariuszki. Wobec zatrzymanych dopuszczano się często aktów przemocy, oficerowie niejednokrotnie byli lżeni i opluwani. Pojmanych „legionerów" uwięziono tymczasowo w budynku koszarowym w Czerniowcach, dokąd przez cały dzień doprowadzano kolejnych żołnierzy polskich, wytropionych w okolicy Rarańczy przez liczne patrole habsburskich sił zbrojnych. Przed wieczorem jeńców uformowano w kolumnę, która pod silnym konwojem wyruszyła do miejscowości Mamajowce. Kwatery pod dachem zapewniono jedynie oficerom, szeregowi żołnierze spędzili noc pod gwiazdami, bez jakichkolwiek posiłków. Nazajutrz, 17 lutego, do tymczasowego obozu jeńców polskich dotarli austro-węgierscy prawnicy wojskowi, by przygotować doraźne postępowanie sądowe. Wielu weteranów kampanii karpackiej lat 1914–1915 spodziewało się najgorszego. Dobrze bowiem pamiętano, jak surowo armia rozprawiała się wówczas z ludnością cywilną, podejrzewaną o sprzyjanie Rosjanom. Setki szubienic, dziesiątki miejsc straceń przez rozstrzelanie wyznaczały obszar działania cesarsko-królewskich audytorów i żandarmów. Sami zresztą przesłuchujący Polaków nie pozostawiali uwięzionym nadziei. W relacji pierwszego z poddanych śledztwu oficerów PKP, kapitana Romana Góreckiego, rozmowy z austro-węgierskimi prawnikami, którzy starannie spisywali szczegółowe i szczere zeznania Polaka, zakończyły się podsumowaniem, że doszło do złamania licznych paragrafów wojskowego kodeksu karnego, z których niemal każdy obejmował sankcję w postaci kary śmierci przez powieszenie lub rozstrzelanie, a w najszczęśliwszym przypadku – 10 lat ciężkiego więzienia. „Po podpisaniu protokołu zapytałem audytora, czy może mi powiedzieć, kiedy to się już skończy. Na to mi odpowiedział: »Prawdopodobnie będzie Pan odwieziony do Kołomyi i tam zostanie Pan doraźnie stracony«. Przyszedłszy do naszej wspólnej chałupy, opowiedziałem to Boldowi i Zagórskiemu, który oświadczył, że i jego to samo czeka, potem dodał: »Wiesz co, Górecki, czem się cieszę – oto będziemy w Warszawie dwa krzyże mieli; tak zaraz obok siebie«. Potem sobie żartowaliśmy, mówiąc: »Stara szlachta, dobra krew, Zagórscy i Góreccy«. Potem napisałem list do audytora, żeby mi pozwolił jeszcze pożegnać się z kolegami; Zagórski także się podpisał. Za chwilę zjawił się audytor i oświadczył, że nie ma nic przeciw temu, żebyśmy się jeszcze pożegnali, ale ponieważ to może się odbyć tylko w jego obecności, pójdzie z nami. [...] Za chwilę przyszedł oficer z żołnierzami, mówiąc, że przyszedł po kapitana Bolda. Ten usiadł na ławie i nagle, nic nie mówiąc, zaczął płakać jak mały chłopiec. Jan Maciej Bold, uosobienie humoru, dowcipu i wesołości, zanosił się od płaczu. Oficer naglił, więc trzeba się było pożegnać. Żołnierze patrzyli na to pożegnanie jakby ze zdziwieniem, że ten, który pojedzie razem z innymi [do obozu internowanych w Huszt], płacze i rozpacza, a ci, co pozostają sami, są spokojni i jeszcze go pocieszają". Kapitan Górecki wkrótce sporządził krótki testament, w którym znalazła się wzmianka o rozdzieleniu posiadanych przez niego pieniędzy pomiędzy żołnierzy plutonu egzekucyjnego, i – właściwie pogodzony z losem – oczekiwał na śmierć. W Kołomyi, gdzie miała odbyć się egzekucja, dowiedział się jednak z niemałym zdumieniem, że z przyczyn proceduralno-prawnych zamiast trybunału doraźnego czeka go postępowanie sądowe w trybie zwyczajnym, co oznaczało zwykle wielotygodniowe procedury, zakończone rozprawą z udziałem adwokata i wezwanych świadków obrony. Wkrótce kpt. Górecki dołączył do swoich towarzyszy broni i niedoli w Huszt, swoje ówczesne przeżycia ujmując w słowach: „I ogarnęła mię bezgraniczna radość życia; dużego wysiłku woli potrzebowałem, by nie krzyczeć ze wszystkich sił, że żyję, że patrzę na ludzi i na >>>

Jeden z czwórki głównych oskarżonych w procesie w Marmaros-Sziget, por. Norbert Okołowicz pod eskortą trzech węgierskich honvedów.

Jeden z czwórki głównych oskarżonych w procesie w Marmaros-Sziget, ks. Józef Panaś.

Nawrocki, ksiądz pułkownik Józef Panaś 1887-1940, „Zeszyty Odrzykońskie" pod red. Stanisława Ł. Juchy, Odrzykoń 2001, z.8, ił.z.]

>>> świat. I wtedy zrozumiałem, że wprawdzie przy pewnym wysiłku woli można z łatwością wyrzec się życia, gdy Sprawa tego wymaga, że jednak jest ono najwyższem dobrem człowieka".

Równocześnie rozpoczęto aresztowania w pozostałych miejscach pobytu żołnierzy PKP, które objęły placówki w Wiedniu i Budapeszcie, Dom Ozdrowieńców w Nowym Mieście i ośrodek zapasowy w Bolechowie. Zatrzymano także kursantów, rozproszonych w różnych ośrodkach szkoleniowych oraz żołnierzy korzystających z urlopów. W najtrudniejszej chyba sytuacji znalazł się 2. pułk ułanów, który miał swoje kwatery w okolicy Synowódzka pod Stryjem, na dalekim zapleczu ówczesnej linii frontu. Kawalerzyści nie mieli żadnych szans na pomyślny udział w planowanej konspiracyjnie akcji głównych sił Żelaznej Brygady. Kadra pułku dyskutowała nad rozmaitymi możliwościami zaznaczenia swojego sprzeciwu wobec jawnie antypolskiej polityki Wiednia. Jeden z najbardziej fantastycznych pomysłów obejmował rajd konny do zagłębia naftowego w Borysławiu i zniszczenie szybów wydobywczych wraz z rafineriami. Jan Dunin-Brzezicki, pełniący wówczas obowiązki komendanta pułku, tak wspominał ten epizod: „Ja zapatrywałem się spokojnie na tę sprawę, gdyż najpierw wiedziałem, że w Synowódzku Niżnym [sąsiednia miejscowość – przyp. autora] stoi batalion pruskiej piechoty, że mamy po 5 naboi na karabin,

Tereny dawnego komitatu (województwa) Marmaros – Sziget, gdzie w miejscowościach Marmaros-Sziget, Huszt, Dulfalva, Talaborfalva, Bustyahaza, Szeklencze, Szaldobosz i Taraczkös więzieni byli żołnierze PKP. Mapa z początku XX wieku, obecnie obszar dawnego komitatu podzielony jest pomiędzy Rumunię i Ukrainę.

że konie nasze przynajmniej połowa w drodze padnie. Jeśli zaś Borysław spalimy, to nie tylko, że państwom centralnym wielkiej szkody nie zrobimy, lecz samym sobie, bo tak czy siak skończy się to bohaterską śmiercią całego pułku. [...] Tej samej nocy 120 żołnierzy wyjechało, ja zaś 120 marszrut podpisałem in blanco. Kiedy się wieść rozeszła, że pułk się rozchodzi, zaczęła się niesubordynacja, gdyż żołnierze bez żadnych dokumentów zaczęli uciekać w stronę Borysławia. Smutny to był dla mnie widok tych starych towarzyszy z plecakami, z kijami w rękach idących na tułaczkę. [...] Z ogromną pomocą przyszli nam kolejarze. W Stryju każdy transport żołnierzy przebierali w austriackie mundury, fałszywe papiery

fabrykowane były na wielką skalę, pociągi przed stacją zatrzymywali, by żołnierze mogli wysiąść i w wagonach bydlęcych przewozili ich do Królestwa. Nam dawali znać, kiedy nas zainternują". Gdy już do tego doszło, rtm. Dunin-Brzezicki doprowadzony został przed sąd doraźny i złożył zeznania, a w czasie uwięzienia zetknął się z zupełnie rozbieżnymi postawami austro-węgierskiej kadry oficerskiej. Z jednej strony zupełny brak reakcji komendanta konwoju wobec zastosowania niedozwolonej przemocy (pobicie kolbą karabinu) wobec więźnia, z drugiej – wyraźne ostrzeżenie, udzielone przez innego oficera: »Był tam porucznik Czech, porządny człowiek, który pewnego dnia przyszedł do mnie i zapytał, czy w piecu się pali, a następnie powiedział, że za pół godziny przyjdzie, gdyż musi rewizję w moim kuferku przeprowadzić. Momentalnie wszystkie kompromitujące mnie papiery wrzuciłem do pieca«".

Ogółem w ręce wojskowych władz Austro-Węgier wpadło około 5500 żołnierzy Polskiego Korpusu Posiłkowego, rozwiązanego formalnie 19 lutego 1918 roku. Przewiezieni zostali oni do obozów internowania na Węgrzech, a złośliwy kaprys historii sprawił, że miejscem ich niewoli stały się miejscowości, w których stacjonowała i o które walczyła kilka lat wcześniej Żelazna Brygada: Marmaros-Sziget, Huszt, Dulfalva, Talaborfalva, Bustyahaza, Szeklencze, Szaldobosz i Taraczkös. Dwa pierwsze obozy miały charakter karny, obowiązywał w nich zaostrzony rygor i surowsze warunki bytowe, niż w pozostałych miejscach odosobnienia Polaków. Jedynie nieliczni szczęśliwcy – jeśli można tak powiedzieć – trafili do obozów w Witkowicach i Żurawicy, a więc na terenie Małopolski pod zaborem austriackim.

W niewoli u bratanków – upadek mitu

Pobyt internowanych żołnierzy PKP na Węgrzech obfitował w epizody jawnie sprzeczne z odwiecznym mitem o szczególnej przyjaźni i życzliwości Madziarów wobec Polaków. Jan Dunin-Brzezicki wspominał: „Sam na własne oczy widziałem, jak Madziarzy kolbami bili żołnierzy i kilku nawet bagnetami poprzebijali. Ludzie tygodniami nie byli myci, wszy łaziły i wygłodzone to takie było, że przechodzi ludzkie pojęcie. Naumyślnie ich gnano z obozu Busztyahaza, odległego o 20 km, do przesłuchania po południu, przychodzili więc około godziny 6, kiedy się urzędowanie kończyło. Całą noc spali, na drugi dzień bywało przesłuchanie, a po południu ich z powrotem gnali piechotą, nie dawszy przez 24 godziny nic do ust". Cóż, w świetle wojskowych kodeksów i prasowej propagandy Polacy byli w końcu podstępnymi zdrajcami i dezerterami, którzy wszczęli zbrojny bunt przeciw monarchii i jej armii... W każdym razie zachowanie węgierskich strażników, tak podczas śledztwa, jak podczas procesu, wskazywało na jawnie wrogą Polakom postawę.

Internowani zmuszeni byli do składania wyczerpujących i szczegółowych zeznań w toczącym się przed cesarsko-królewskim trybunałem 7. Armii postępowaniu sądowym. To, że doszło do zastosowania cywilizowanych procedur procesowych, a nie krótkiej rozprawy przed sądami doraźnymi i masowej egzekucji skazanych, było bez wątpienia efektem ingerencji liczącego się wciąż w kręgach elity władzy polskiego koła poselskiego w Wiedniu. Fiasko planów i dymisja ministra Ottokara Czernina, twórcy niesławnego Pokoju Brzeskiego, który stał się bezpośrednim powodem buntu legionistów, dodatkowo wzmocniły stronnictwo polskie w oczach cesarza.

W maju 1918 roku śledztwo dobiegło końca. Ogromną większość internowanych uznano za wolnych od winy, jako nieświadomie wykonujących rozkazy zwierzchników. Wkrótce poddanych cesarza Karola I, jako podlegających obowiązkowi służby zbrojnej, wcielono do oddziałów armii austro-węgierskiej i skierowano na front włoski, gdzie nieraz spotykali swoich dawnych towarzyszy broni z Legionów Polskich, walczących pod obcym sztandarem od poprzedniego roku.

Rtm. Juliusz Ostoja-Zagórski – dowódca 2 pułku ułanów

Jeden z czwórki głównych oskarżonych w procesie w Marmaros-Sziget, Juliusz Ostoja-Zagórski, dowódca 2 pułku ułanów Legionów Polskich.

Odznaka pamiątkowa nadawana byłym podsądnym procesu legionistów w Marmaros-Sziget.

Proces

Akt oskarżenia obejmował 334 żołnierzy, w tym 91 oficerów i 3 sanitariuszki, jako świadkowie zeznawać miało podczas rozprawy w Marmaros – Sziget ponad 120 osób. Proces rozpoczął się 8 czerwca 1918 roku. Obronę podsądnych prowadzili najwybitniejsi adwokaci galicyjscy, jak mec. Herman Liberman i mec. Natan Loewenstein. Posiedzeniom sądu przysłuchiwali się liczni dziennikarze, a także działacze polityczni, jako że proces byłych >>>

Walka zbrojna o niepodległość Polski 1905-1918.
Wacław Lipiński.
Wznawiana praca „klasyki gatunku". Świetnie napisana, syntetycznie przedstawia przygotowania do walki zbrojnej i dzieje biorących w niej udział polskich formacji wojskowych w czasie wojny. To ich wysiłek uważał Lipiński za decydujący w dziele wybicia się Polski na niepodległość.
Zamów na www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

mapa: kolekcja własna autora, fot. Jan Dunin-Brzeziński, Rotmistrz Legionów Polskich. Wspomnienia z lat 1914-1919, Prószków, b.r.w., po s.112; fot. odznaki – kolekcja własna autora

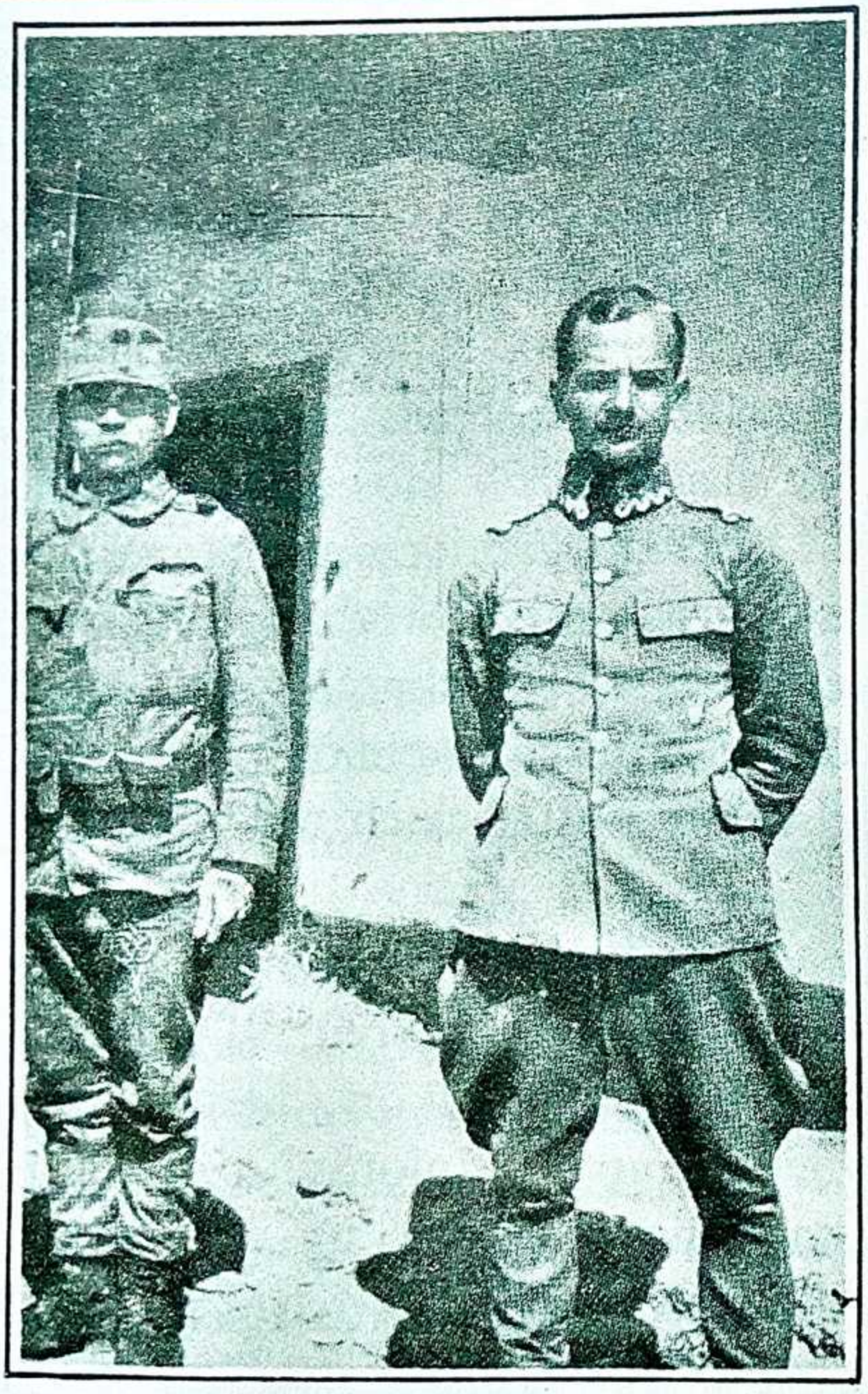

Kpt. Roman Górecki
główny oskarżony procesu

Jeden z czwórki głównych oskarżonych w procesie w Marmaros-Sziget, kapitan Roman Górecki. Swoją niezłomną, bezkompromisową postawą i pogodą ducha w obliczu groźby kary śmierci imponował współtowarzyszom niedoli. Po uwolnieniu z habsburskiego więzienia wstąpił do odradzającego się Wojska Polskiego i pełnił szereg odpowiedzialnych funkcji w administracji sił zbrojnych. W roku 1923 otrzymał awans generalski. Przyjął także funkcję prezesa wojskowego klubu sportowego „Legia". Po przejściu w stan spoczynku pracował w bankowości, a w latach trzydziestych został ministrem przemysłu i handlu w rządzie II RP.

>>> legionistów wzbudził wielkie zainteresowanie polskiej opinii publicznej.
Z czterech głównych oskarżonych jako pierwszy występował przed sądem kapitan Roman Górecki, który wyjawił całą prawdę o poglądach i zamiarach spiskowców i uczestników starcia pod Rarańczą. Przyznając się do czynu, odrzucał winę. Jego wystąpienie przed sądem było właściwie raczej mową oskarżycielską wobec trzeszczącej już w posadach Monarchii Naddunajskiej niż próbą odparcia zarzutów zdrady stanu i zbrojnego buntu, zagrożonych karą główną. Podobnie wyglądały oświadczenia majora Zagórskiego, rotmistrza Okołowicza i kapelana Żelaznej Brygady, ks. Panasia. Po wystąpieniach wszystkich oskarżonych rozpoczęły się zeznania świadków. Obrońcy, śledząc na co dzień kolejne klęski Państw Centralnych i wiedząc o słabnącej woli walki Wiednia, przeciągali rozprawę, żądając coraz to nowych zeznań i ekspertyz biegłych. Wreszcie nadszedł długo wyczekiwany zmierzch Imperium Habsburgów. 27 września 1918 roku cesarz Karol I wezwał na audiencję posłów Koła Polskiego i oznajmił im swój akt łaski, obejmujący oskarżonych z Marmaros – Sziget. Następnego dnia postanowienie władcy dotarło do sędziów. Po 85 dniach procesu oskarżeni zostali uwolnieni od winy i kary. W pierwszych dniach października 1918 roku opuścili niegościnną ziemię węgierską i powrócili do Polski, stojącej już na progu niepodległości. <

Piotr Galik
Historyk, pisarz, erudyta. Długoletni współpracownik i przyjaciel miesięcznika „Odkrywca", konsultant z dziedziny wojskowości, chociaż jego ogromna wiedza obejmuje wiele innych dziedzin z zakresu historii.

LITERATURA:

JÓZEF PANAŚ, „My, Druga Brygada", Katowice 1929;
WACŁAW LIPIŃSKI, „Walka zbrojna o niepodległość Polski w latach 1905 – 1918", Warszawa 1990;
ROMAN GÓRECKI, „Z moich wspomnień", [w:] „Opowieści legionowe", Warszawa 1930;
JAN DUNIN – BRZEZICKI, „Rotmistrz Legionów Polskich. Wspomnienia z lat 1914-1919", Pruszków b.r.w.;
JAN DĄBROWSKI, „Dziennik 1914-1918", Kraków 1977

for: Wacław Lipiński, Walka zbrojna o niepodległość Polski w latach 1905 – 1918, Warszawa 1990; s. 222

HITLER W KROŚNIE

STANISŁAW FRYC

Tego dnia kanclerz III Rzeszy przejeżdżał przez miasto. O tej wizycie wiedział wcześniej lokalny ruch oporu, ale do zamachu nie doszło...

W czasie drugiej wojny światowej Adolf Hitler rzadko bywał w okupowanej Polsce. W sierpniu 1941 roku odwiedził Krosno. Dlaczego akurat to miasto? Pewnie dlatego, że wtedy było stąd najbliżej na front wschodni. Znajdowała się tutaj niemiecka baza lotnicza, z której latały nad ZSRR samoloty. Wizyta była jednak nie do końca udana, bo w pewnym momencie führer musiał zmienić własne rozkazy...

Słynna wizyta

W ramach toczącej się wtedy wojny Niemiec ze Związkiem Radzieckim front stał 27 sierpnia 1941 roku pod Kijowem, gdzie znajdowały się także włoskie jednostki, które chciał wizytować Mussolini. Droga do nich wiodła właśnie przez Krosno, gdzie tutejsze przedwojenne solidne obiekty Szkoły Podoficerów dla Małoletnich Niemcy przekształcili w potężną bazę lotniczą, posiadającą nie tylko położone w mieście lotnisko główne, ale też dwa oddalone od niego lotniska pomocnicze. Adolf Hitler zjawił się na lotnisku krośnieńskim w towarzystwie Benito Mussoliniego, licznej świty złożonej z niemieckich i włoskich wyższych oficerów oraz gestapowców z ochrony osobistej. Przybyli tu samochodami z przyfrontowej kwatery głównej Hitlera zlokalizowanej w Stępinie koło Strzyżowa, gdzie przyjechali wcześniej pociągiem.

Po wyjściu z samolotu typu Fw – 200 Condor po przylocie na lotnisko główne niemieckiej bazy lotniczej w Krośnie. Od lewej: dowódca bazy, przed nim Benito Mussolini, obok Adolf Hitler.

Środki bezpieczeństwa

Jeszcze w przeddzień tej wizyty przedstawiciele niemieckich władz wojskowych Krosna ogłosiły, że w następny dzień w godzinach porannych nastąpi przejazd przez główne ulice miasta – prowadzącą od Strzyżowa ul. Krakowską, położony w centrum Rynek i zmierzającą ku lotnisku ulicę Czajkowskiego – bardzo dużej kolumny wojsk niemieckich. W związku z tym wydano ostrzeżenie dla mieszkańców, zakazujące pod groźbą kary śmierci pokazywania się w oknach i na balkonach. Z tego też powodu rankiem 27 sierpnia Krosno było opustoszałe. Ludzie

fot. ze zbiorów Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego

nie pokazywali się na ulicach, ani w oknach i na balkonach domów położonych przy głównych arteriach miasta. Na balkonach stali esesmani z gotowymi do strzału pistoletami maszynowymi. Spoglądali w dół, lustrując wzrokiem trasę przejazdu, która wiodła ulicami obstawionymi przez oddziały Wehrmachtu i policji. Niebawem pojawiła się zdążająca od ulicy Krakowskiej kawalkada samochodów z Hitlerem, Mussolinim, ich świtą i ochroną. Po przejechaniu przez Rynek samochody wjechały w ulicę Czajkowskiego, którą dotarły na krośnieńskie lotnisko główne. Jego obsługa nie była powiadomiona o przyjeździe Hitlera i Mussoliniego. Kiedy więc samochody nazistowskich dygnitarzy przejechały przez bramę główną lotniska i znalazły się przy płycie startowej, znamienitych gości przywitali tylko dowódca bazy z oficerami. Potem Hitler i Mussolini ze świtą wsiedli do oczekującego już na nich czterosilnikowego samolotu transportowego typu Fw – 200 Condor, którym odlecieli na front wschodni pod Kijów, gdzie Duce zwizytował włoskie jednostki wojskowe. Wieść o przyjeździe jego i Hitlera szybko obiegła załogę bazy z pracującymi tam Polakami i dotarła do miasta.

Swawolny powrót

Później pojawiła się informacja, jakoby podczas porannego przejazdu przez opustoszałe ulice Krosna Mussolini zadrwił z Hitlera, twierdząc, że ten boi się Polaków. Podrażniony tym Führer zmienił dalszy przebieg wizyty. Odwołał rozkazy, zgodnie z którymi w trakcie jego powrotu z frontu wschodniego główne ulice miasta miały być ponownie oczyszczone z mieszkańców. Stąd też jeszcze w południe 27 sierpnia przedstawiciele władz miasta ogłosili, że Hitler z Mussolinim przejeżdżali rano przez miasto, udając się na lotnisko, z którego odlecieli na front wschodni. Dodali przy tym, że kiedy po południu, po wcześniejszym powrocie z frontu i wylądowaniu na lotnisku, będą oni wraz z świtą i ochroną przejeżdżać przez obstawione wojskiem i policją główne ulice Krosna, to mieszkańcy będą tym razem mogli się temu przyglądać. Poinformowana o przylocie Hitlera załoga bazy też przygotowywała się do przyjęcia führera, chwaląc się tym przed pracującymi w bazie Polakami.

Załoga lotniska głównego niemieckiej bazy lotniczej w Krośnie przed jednym z hangarów w oczekiwaniu na przylot samolotem typu Fw – 200 Condor Hitlera i Mussoliniego (z prawej ocalały po wojnie budynek portu lotniczego).

Wspomnienia świadków

Jeden z nich, Antoni Strahl, tak to zapamiętał:

„Idąc rano do pracy, zauważyłem na ulicach Krosna wzmożony ruch. Spotkałem oddziały SS i dużą ilość policji wszelkiego rodzaju. Natomiast po przybyciu do pracy zauważyłem natomiast, że mój szef jest odświętnie ubrany i bardzo podekscytowany. Zapytałem go więc wprost, czym to jest podyktowane. Pochylił się wtedy nad moim uchem i powiedział, że dziś po południu Hitler przyjeżdża do Krosna. Potem wyjaśnił, że wybiera się go witać, gdyż należał kiedyś do jego oddziałów ochrony".

Już po godzinie szesnastej 27 sierpnia, rozległ się nad lotniskiem głównym niemieckiej bazy w Krośnie warkot motorów samolotu transportowego typu Fw – 200 Condor. Gdy schodził do lądowania, zbliżyły się wozy lotniskowej straży pożarnej. Kiedy samolot wylądował, odjechały na bok. Condor zjechał wtedy z pasa >>>

PRZEBIEG WIZYTY HITLERA I MUSSOLINIEGO W KROŚNIE 27.08.1941 R.*

CORPO DI SPEDIZIONE ITALIANO IN RUSSIA – CZYLI WŁOSKI KORPUS EKSPEDYCYJNY WALCZYŁ NA FRONCIE WŁOSKIM M.IN. POD KIJOWEM. JEDNOSTKI TE BYŁY NAJPRAWDOPODOBNIEJ CELEM WIZYTY WODZÓW III RZESZY I WŁOCH. KROSNO POSIADAJĄCE LOTNISKO USYTUOWANE W ODLEGŁOŚCI OK. 30 KM OD STĘPINY, GDZIE ZNAJDOWAŁA SIĘ KWATERA GŁÓWNA HITLERA DLA OBSZARU POŁUDNIE (ANLAGE SÜD), STANOWIŁO DOGODNY PUNKT PRZESIADKOWY W DRODZE NA FRONT WSCHODNI. EWENTUALNY ZAMACH NA HITLERA MÓGŁ NASTĄPIĆ PODCZAS PRZEJAZDU SAMOCHODEM PRZEZ KROSNO LUB W DRODZE DO STĘPINY.

MAPA PRZEJAZDU PRZEZ KROSNO

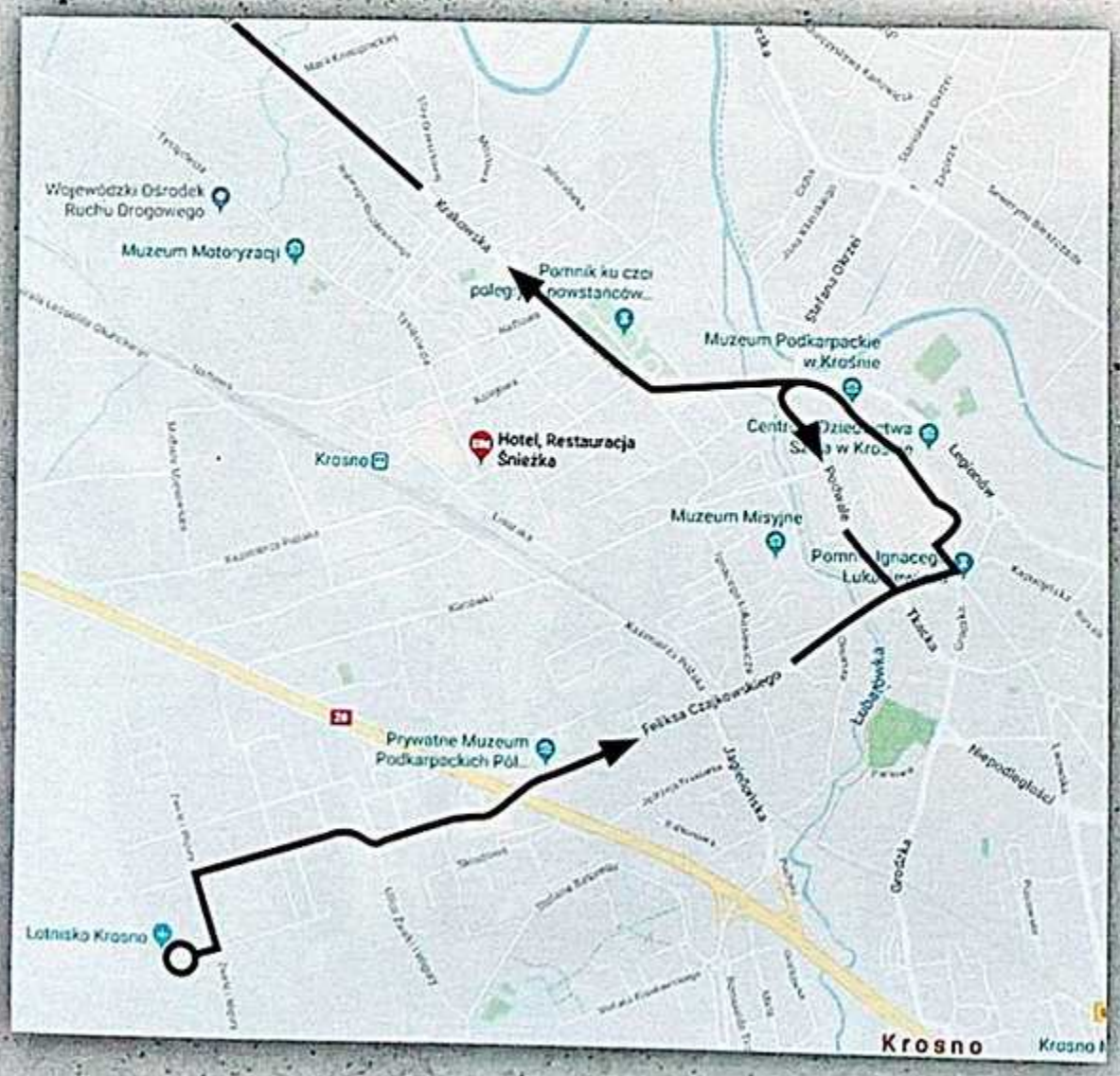

DROGA Z KROSNA DO STĘPINY

* MAPY ZE WSPÓŁCZESNYM PODZIAŁEM GRANIC I PRZEBIEGIEM SZLAKÓW KOMUNIKACYJNYCH.

>>> i w pewnej odległości od portu lotniczego podkołował do stojącego obok hangaru, przed którym czekali: oficerowie z dowództwa bazy, piloci i mechanicy, żołnierze Wehrmachtu i Niemcy z cywilnej obsługi lotniska, w tym kobiety z kwiatami. Samolot zatrzymał się, otworzyły się drzwi i rozpoczęło się powitanie, które tak zapamiętał jeden ze strażaków, Kazimierz Samołyk:

„Kiedy drzwi samolotu były już otwarte, zobaczyłem jak wylazły z niego jakieś znajome gęby. Tak, to byli oni. Mussolini, a za nim Hitler, a potem ich świta z ochroną. Kiedy ci dwaj stanęli na podstawionych pod samolot schodkach, podjechały pod niego samochody terenowe, a od strony portu lotniczego podeszli oficerowie z dowództwa, piloci i mechanicy, żołnierze Wehrmachtu i niemieccy cywile. Pierwszy zszedł po schodkach Mussolini, a dopiero za nim Hitler. Przywitał się z dowódcą bazy, jej oficerami i pilotami, a potem przyjął kwiaty. Kiedy uniósł rękę w charakterystycznym pozdrowieniu, Niemców ogarnął szał radości. Ale Hitler, Mussolini i cała ta zgraja ze świty wsiedli szybko do samochodów. Przeciskając się przez tłumek żołnierzy i cywilów, ruszyły one wraz z samochodami ochrony w stronę głównej bramy lotniska". Kiedy później kawalkada samochodów z Hitlerem i Mussolinim wjechała na prowadzącą do centrum miasta ulicę Czajkowskiego, Krosno było już dobrze przygotowane do ich przejazdu. Wzdłuż głównych ulic miasta, Czajkowskiego, Rynku i Krakowskiej stali tłumnie mieszkańcy obstawieni gęstym kordonem żołnierzy Wehrmachtu, policji oraz esesmanów, którzy przyglądali się baczniе ludziom, mając broń gotową do użycia. Tłum się powiększał, bo przybywało przygodnych gapiów dochodzących po załatwieniu swoich spraw w urzędach.

Adolf Hitler i Benito Mussolini w samochodzie żegnani przez załogę lotniska głównego bazy w Krośnie podczas przejazdu w kierunku centrum Krosna (u góry z prawej ocalały po wojnie budynek portu lotniczego).

fot. ze zbiorów Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego.

Niebawem wszyscy zgromadzeni wzdłuż ulic miasta zobaczyli przejeżdżającą ulicą Czajkowskiego, przez Rynek i Krakowską kawalkadę samochodów z Hitlerem, Mussolinim oraz ich świtą i ochroną. Ci, którzy stali na chodnikach, mieli ich parę metrów przed sobą, na wyciągnięcie ręki.

Zamach?

Nie trwało to długo, bo kawalkada samochodów z Führerem i Duce bardzo szybko przejechała przez ulice Krosna, udając się w stronę Strzyżowa, a potem Stępiny. W miejscowej przyfrontowej kwaterze głównej Hitler i Mussolini przebywali do wieczora, kiedy to dwoma pociągami, osobno już odjechali do Rzeszowa. Później długo mówiło się w Krośnie i okolicy o wizycie obu dygnitarzy, pojawiły się nawet głosy o planowanym na nich zamachu. O drugim przejeździe przez główne ulice Krosna z pewnością wiedziało lokalne podziemie. Konkretnie złożony z placówek terenowych Obwód Krosno, podlegający pod Inspektorat Rejonowy Jasło (Krosno) Związku Walki Zbrojnej, która posiadała na niemieckim lotnisku swoją komórkę wywiadu, do której należał także Antoni Strahl. Jeszcze przed południem przekazał on swoim zwierzchnikom na punkcie kontaktowym w mieście pozyskaną od swojego szefa w pracy informację o Hitlerze. Kiedy do OK ZWZ dotarła wiadomość o planowanym drugim przejeździe Hitlera i Mussoliniego, jej konspiratorzy podjęli we własnym gronie rozmowy na temat ewentualnego zorganizowania zamachu. Niestety, nic więcej na ten temat nie wiadomo. W zachowanych dokumentach archiwalnych sporządzonych przez członków OK ZWZ nie ma zapisów mówiących o jakichkolwiek szczegółach tej sprawy. Konspiratorzy już dawno nie żyją. Tajemnicę dotyczącą ewentualnego planowanego zamachu na Hitlera zabrali tym samym do grobu.

Stanisław Fryc
Zamieszkały w Jaśle, a urodzony w Krośnie, nauczyciel, absolwent krakowskiej WSP i dziennikarz, interesujący się głównie historią lotnictwa oraz sportu autor artykułów zamieszczonych w czterdziestu czasopismach regionalnych i centralnych.

OSTATNIE STRZAŁY POD ZAMKIEM GRODNO

MACIEJ SZCZEREPA

W rezydencji barona von Zedlitza und Neukircha stojącej u podnóża góry zamkowej znajdowała się jedna ze składnic konserwatora zabytków prowincji dolnośląskiej Günthera Grundmanna. Trafiły tu zbiory z Berlina i zrabowane przez Niemców z Generalnego Gubernatorstwa.

fot. zbiory M. Szczerepa

Przepięknie położona wieś Zagórze Śląskie, leżąca u stóp średniowiecznego zamku Grodno wznoszącego się na szczycie Choiny (450 m n.p.m.), jest jednym z wielu magicznych miejsc Dolnego Śląska. Każdego roku przyciąga tysiące turystów oraz miłośników tajemnic. Z miejscem tym związanych jest wiele ciekawych historii, które co jakiś czas prezentowane są chociażby na łamach miesięcznika „Odkrywca". W niniejszym artykule chciałbym przybliżyć Czytelnikom wydarzenia, jakie rozegrały się pod zamkiem Grodno w ostatnich godzinach II wojny światowej.

Potyczka pod zamkiem Grodno

Jeszcze o świcie 8 maja 1945 roku linia frontu biegła na południe od Świdnicy, a więc kilkadziesiąt kilometrów od Zagórza Śląskiego. W ciągu dnia niemiecki front załamał się i w godzinach wieczornych pierwsi czerwonoarmiści doszli do Zagórza Śląskiego i zamku Grodno. Żołnierze sowieccy, którzy tu dotarli, wchodzili w skład 282 Dywizji Strzeleckiej. Dowodził nią doświadczony frontowiec, pułkownik Nikołaj Łysenko.

Dywizja dzień wcześniej została operacyjnie podporządkowana 117 Korpusowi Strzeleckiemu 21 Armii. Obok niej w skład korpusu wchodziły 72 i 125 Dywizje Strzeleckie, które już 7 maja 1945 roku przeszły do natarcia i opanowały Strzegom (125 Dywizja Strzelecka) oraz Morawę (72 Dywizja Strzelecka). Mimo tych sukcesów dowództwo korpusu nie było zadowolone. Szansę na pełniejszy sukces zaprzepaściła 282 Dywizja Strzelecka, która nie zdołała skoncentrować się na czas w wyznaczonym sektorze i nie wsparła działań militarnych korpusu. Według założonego planu dywizja Łysenki, w razie sukcesu 72 i 125 Dywizji Strzeleckich, miała uderzyć z rubieży Międzyrzecze – Pełcznica w dwóch kierunkach: na Jaworzynę Śląską i Świdnicę oraz na Pastuchów, Żarów, Siedlimowice. Dywizja jeszcze 6 maja 1945 roku znajdowała się w rejonie na północny zachód od Strzelina (Mańczyce, Głownin, Ludów Śląski, Zielenice). Opuściła go o godzinie 20.00 i wyruszyła przez Borów, Szczepankowice, Kąty Wrocławskie, Wichrów, aby do godziny 16.00 7 maja 1945 roku skoncentrować się w rejonie Gościsław – Mielęcin – Zastruże. W dzienniku działań bojowych 117 Korpusu Strzeleckiego zapisano, że przyczyną opóźnienia był źle zorganizowany przemarsz dywizji i brak nadzoru ze strony jej dowódcy. W sektor koncentracji dywizji wyjechał dowódca korpusu generał major Dmitrijew (zastępował na tym stanowisku generała majora Trubaczewa). Osobiście nadzorował wyjście 874 Pułku Strzeleckiego majora Kajewa na wyznaczoną rubież. Jeszcze tego samego dnia uderzył w kierunku wsi Czechy, którą następnie zdobył. O świcie 8 maja 1945 roku pułki Łysenki przystąpiły do natarcia. Oddziały niemieckie, zajmujące pozycje obronne w sektorze ataku dywizji, rozpoczęły odwrót w kierunku południowym. Podobna sytuacja panowała w całym pasie natarcia 117 Korpusu Strzeleckiego. Dywizja natychmiast ruszyła w pościg, ścierając się z ariergardami wroga. Postępując w ślad za cofającymi się Niemcami, 877 Pułk Strzelecki dowodzony przez podpułkownika Iwanowa zajął Pastuchów, Piotrowice Świdnickie, Żarów i o godzinie 12.00 wszedł do Świdnicy. >>>

Zamek Grodno na archiwalnej pocztówce.

Fragment mapy z zaznaczonymi pozycjami 282 Dywizji Strzeleckiej wieczorem 8 maja 1945 r.

Pieczęć 877 Pułku Strzeleckiego i podpis jego dowódcy podpułkownika Iwanowa.

Pieczęć 282 Dywizji Strzeleckiej i podpis jej dowódcy pułkownika Łysenki.

Skarby III Rzeszy pod zamkiem Grodno. Szymon Wrzesiński, Krzysztof Urban.
Poszukując informacji o właścicielach zamku Grodno, S. Wrzesiński i K. Urban przeprowadzili szeroko zakrojoną kwerendę. Jej efekt okazał się zaskakujący! Odnaleźli szereg niepublikowanych dokumentów berlińskiego konserwatora ze szczegółowym opisem kilku tajnych transportów do Zagórza Śląskiego w 1943 roku...
Zamów na www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

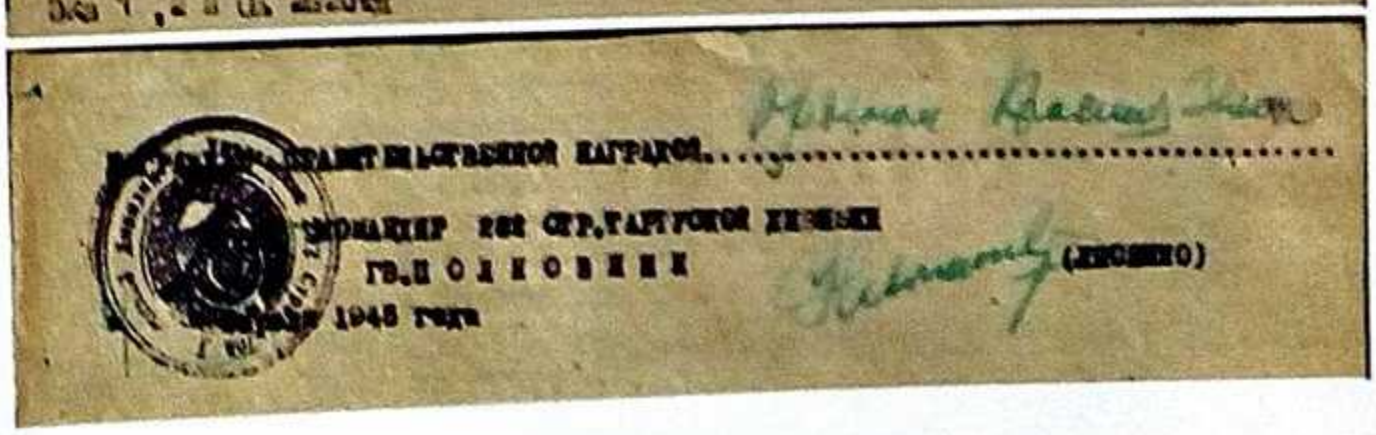

POSZUKIWANIA NA ZAMKU GRODNO - 2016 I 2017 ROK.

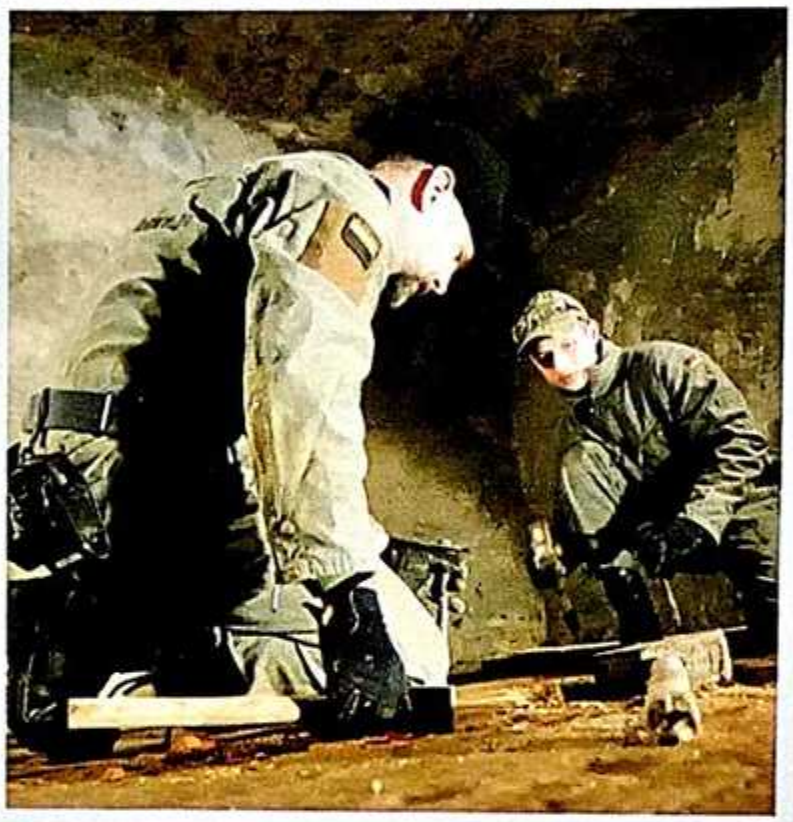

EKIPA MIESIĘCZNIKA „OKDRYWCA": PO ZDJĘCIU POSADZKI NATKNĘLIŚMY SIĘ NA ŚLADY INNE OD BUDOWLANYCH POZOSTAŁOŚCI – METALOWE RĄCZKI, FRAGMENTY KLUCZA, DESTRUKTY DREWNA ORAZ WYRAŹNY OBRYS PRZEDMIOTU W ZIEMNYM PROFILU WSKAZYWAŁY, ŻE MOGŁY TO BYĆ POZOSTAŁOŚCI JAKIEGOŚ RODZAJU SKRZYNECZKI BĄDŹ KASETKI (ROK 2016).
JESZCZE WIĘKSZĄ SENSACJĄ BYŁO ODNALEZIENIE PRZEZ MIESIĘCZNIK „ODKRYWCA" PIECZĘCI ANTYPAPIEŻA BENEDYKTA XIII W SKARPIE PRZYLEGAJĄCEJ DO MURU ZAMKU WYSOKIEGO GRODNO (ROK 2017).

>>> Dwie godziny wcześniej do tego miasta wkroczyli czerwonoarmiści z 874 Pułku Strzeleckiego. Trzeci pułk Łysenki – 872 Pułk Strzelecki podpułkownika Lichilko znajdował się w drugim rzucie dywizji. Wraz z zajęciem Świdnicy pułkownik Łysenko otrzymał ze sztabu korpusu rozkaz wydzielenia szybkich grup bojowych i rozwinięcia natarcia w kierunku południowo-zachodnim w ślad za uchodzącym wrogiem. Łysenko błyskawicznie wykonał rozkaz. 874 Pułk Strzelecki wraz z dwoma dywizjonami artylerii 826 Pułku Artylerii, baterią dział przeciwpancernych oraz kompanią saperów miał przemieszczać się drogą Świdnica – Dziećmorowice – Rusinowa – Podgórze i dalej w kierunku na Mieroszów. 877 Pułk Strzelecki natomiast wzmocniony dywizjonem artylerii 826 Pułku Artylerii, baterią dział przeciwpancernych oraz kompanią saperów podążać miał szosą ze Świdnicy na Lubachów, Zagórze Śląskie, Olszyniec, Głuszycę, a następnie dalej w kierunku Broumowa w Czechach. 872 Pułk Strzelecki w dalszym ciągu znajdował się w rezerwie dywizyjnej i otrzymał zadanie podążać za 874 Pułkiem Strzeleckim.

W godzinach popołudniowych 8 maja 1945 roku dowódcy pułków wydzielili oddziały szybkie w sile mniej więcej batalionu i następnie żołnierze, po załadowaniu na samochody artylerzystów, ruszyli w wyznaczonych kierunkach.

Zamek Grodno. Przewodnik – dzieje, tajemnice, legendy.
Przewodnik prezentujący dzieje, tajemnice i legendy śląskiego zamku Grodno.
Obok historii właścicieli i samej budowli, znajdziemy w książce plan zamku, szczegółowy opis zespołu architektonicznego oraz bogaty zestaw ilustracji, m.in. zbiór starych pocztówek. Przygotowując się do zwiedzania, warto poczytać o zamkowych tajemnicach i legendach czy skarbach.
Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

Nas interesują działania 877 Pułku Strzeleckiego podpułkownika Iwanowa, którego kolumna podążała w kierunku Zagórza Śląskiego. Według dziennika działań bojowych 117 Korpusu Strzeleckiego do końca dnia rozbiła ona niewielkie grupki przeciwnika, zlikwidowała zaminowane przeszkody, opanowała Myślęcin (dziś część Zagórza Śląskiego) oraz Zagórze Śląskie. Z dziennika działań bojowych 282 Dywizji Strzeleckiej wynika, że czołowy oddział 877 Pułku Strzeleckiego w sile batalionu dotarł do Zagórza Śląskiego około godziny 18.00–19.00. Rosjanie poruszali się pieszo, gdyż wiozące ich samochody z działami zostały spowolnione przez liczne zapory utworzone ze zwalonych drzew, które na szosie do Zagórza Śląskiego pozostawili po sobie wycofujący się Niemcy. Po zajęciu Zagórza Śląskiego batalion skierował się szosą na południe i dotarł do rzeki Bystrzycy. Most na rzece został wcześniej wysadzony przez ariergardy przeciwnika. Czerwonoarmiści zaczęli przeprawiać się przez Bystrzycę i moment ten wykorzystali Niemcy, którzy pozostawili w tym rejonie grupę osłonową. Już wcześniej zajęła ona dogodne pozycje strzeleckie na wzgórzach okalających rejon zniszczonego mostu i przygotowała zasadzkę. Ogień kaemów i moździerzy spadł na Rosjan w momencie, gdy ci podjęli próbę przeprawy na drugi brzeg Bystrzycy. Czerwonoarmiści, pozbawieni wsparcia ogniowego własnej artylerii i moździerzy, po chwili zaskoczenia i chaosu, szybko zreorganizowali się i przystąpili do likwidacji niemieckich stanowisk. Sytuację ułatwił fakt, że do Zagórza Śląskiego dotarły kolejne elementy pułku. Nie było wśród nich jego dowódcy – podpułkownika Iwanowa, który w dalszym ciągu znajdował się w tyłowej kolumnie jednostki i dotarł na miejsce nieco później. Całą akcją dowodził więc kapitan Semen Wichorew. Był on zastępcą naczelnika ds. operacyjnych 282 Dywizji Strzeleckiej, kilka dni

fot. M. Szczerepa, A. Daczkowski, Zamek Grodno

później został odznaczony Orderem Wojny Ojczyźnianej II klasy. Podobnie zresztą jak starszy lejtnant Nikołaj Miłaszin, który nie bacząc na ogień przeciwnika, zachował zimną krew i szybko przywrócił porządek w szeregach czerwonoarmistów. Rosjanie po krótkiej chwili przejęli inicjatywę, przeczesali teren i opanowali wszystkie stanowiska bojowe przeciwnika. Niemcy rozproszyli się, część się poddała. Łącznie pułk wziął do niewoli 35 hitlerowców, straty Rosjan wyniosły 22 rannych. W pościgu bądź poszukiwaniu żołnierzy przeciwnika czerwonoarmiści dotarli też na zamek Grodno.

O potyczce pod zamkiem Grodno poinformowano sztab dywizji, który natychmiast zareagował. Rezerwowy 872 Pułk Strzelecki zamiast na Dziećmorowice skierowano na Lubachów. Przeczesał porośnięty lasem górzysty lewy brzeg Bystrzycy, dotarł także do zamku Grodno. Z zeznań jeńców niemieckich wynikało, że Niemcy wysadzili także inne mosty na drodze z Zagórza Śląskiego do Głuszycy. W związku z tym oba pułki jeszcze 8 maja 1945 roku zawróciły do Lubachowa, gdzie skręciły na Dziećmorowice i podążyły za 874 Pułkiem Strzeleckim w kierunku na Mieroszów i Broumow. W podsumowaniu działań dywizji w dniach od 7 do 11 maja 1945 roku zapisano, że w pościgu za cofającym się przeciwnikiem przebyła ona 140-kilometrowy szlak bojowy, podczas którego zajęła 65 miejscowości, w tym Świdnicę i Broumow.

Rzeka Bystrzyca w Zagórzu Śląskim.

Pałac w Zagórzu Śląskim – stan obecny.

Most drogowy na Bystrzycy w Zagórzu Śląskim – stan obecny.

Skarby podpułkownika Moskwina

Jeszcze wieczorem 8 maja 1945 roku do Zagórza Śląskiego przybył podpułkownik Wiaczesław Moskwin, armijny specjalista od budowy przepraw i mostów. Urodzony w 1899 roku, z długim doświadczeniem >>>

>>> wojskowym, odznaczony w 1944 roku Orderem Wojny Ojczyźnianej II klasy, w sztabie 21 Armii był naczelnikiem wydziału drogowo-mostowego. Teraz miał kierować budową zniszczonych przepraw na drodze w kierunku Głuszycy. Wraz z nim przybyła grupa żołnierzy z oddziałów inżynieryjnych i saperskich 21 Armii. Rozlokowali się we wsi, w zabudowaniach zamkowych oraz w rezydencji barona von Zedlitza und Neukircha stojącej u podnóża góry zamkowej. W pałacu znajdowała się jedna ze składnic konserwatora zabytków prowincji dolnośląskiej Günthera Grundmanna. Trafiły tu m.in. zbiory z Berlina (1943 rok) oraz zrabowane przez Niemców z Generalnego Gubernatorstwa (1944 rok). Znalazł się tu też cenny księgozbiór z XVII – XVIII wieku zawierający 963 książki, ryciny, rysunki. Była to tylko niewielka część ogromnej biblioteki hrabiowskiego rodu Yorck von Wartenburg. Przedstawiciel rodu Peter Yorck von Wartenburg należał do antyhitlerowskiej opozycji i był jednym z założycieli „Kręgu z Krzyżowej". Po nieudanym zamachu na Hitlera w lipcu 1944 roku został aresztowany i skazany na śmierć. Jego majątek, w tym księgozbiór, skonfiskowano. Część zbiorów trafiła później wraz z innymi dziełami sztuki zrabowanymi przez Niemców do pałacu w Zagórzu Śląskim.

Jak podaje popularyzator historii Dolnego Śląska Łukasz Kazek, grupa czerwonoarmistów ulokowana w zagórzańskim pałacu, podczas pijackiej imprezy, miała w nocy z 8 na 9 maja 1945 roku spalić w kominku część cennych dzieł sztuki zmagazynowanych w pomieszczeniach rezydencji. Kres zniszczeniu położył podpułkownik Moskwin, który rankiem 9 maja 1945 roku pojawił się w pałacu. Oficer bardzo szybko zdał sobie sprawę z wartości znajdujących się tu skarbów. Te, które ocalały, natychmiast zostały zabezpieczone i zapakowane, a następnie wywiezione do Związku Radzieckiego. Według Łukasza Kazka z pałacu w Zagórzu Śląskim na wschód trafiły między innymi dzieła Jana Matejki, Józefa Brandta, Wojciecha Gersona, Aleksandra Gierymskiego. Później powróciły do Polski. Do dziś jednak w Rosji znajdują się pozostałe skarby wywiezione z Zagórza Śląskiego. Przykładem tego jest choćby księgozbiór rodu Yorck von Wartenburg, który trafił do Pałacu Aleksandrowskiego w Puszkinie... <

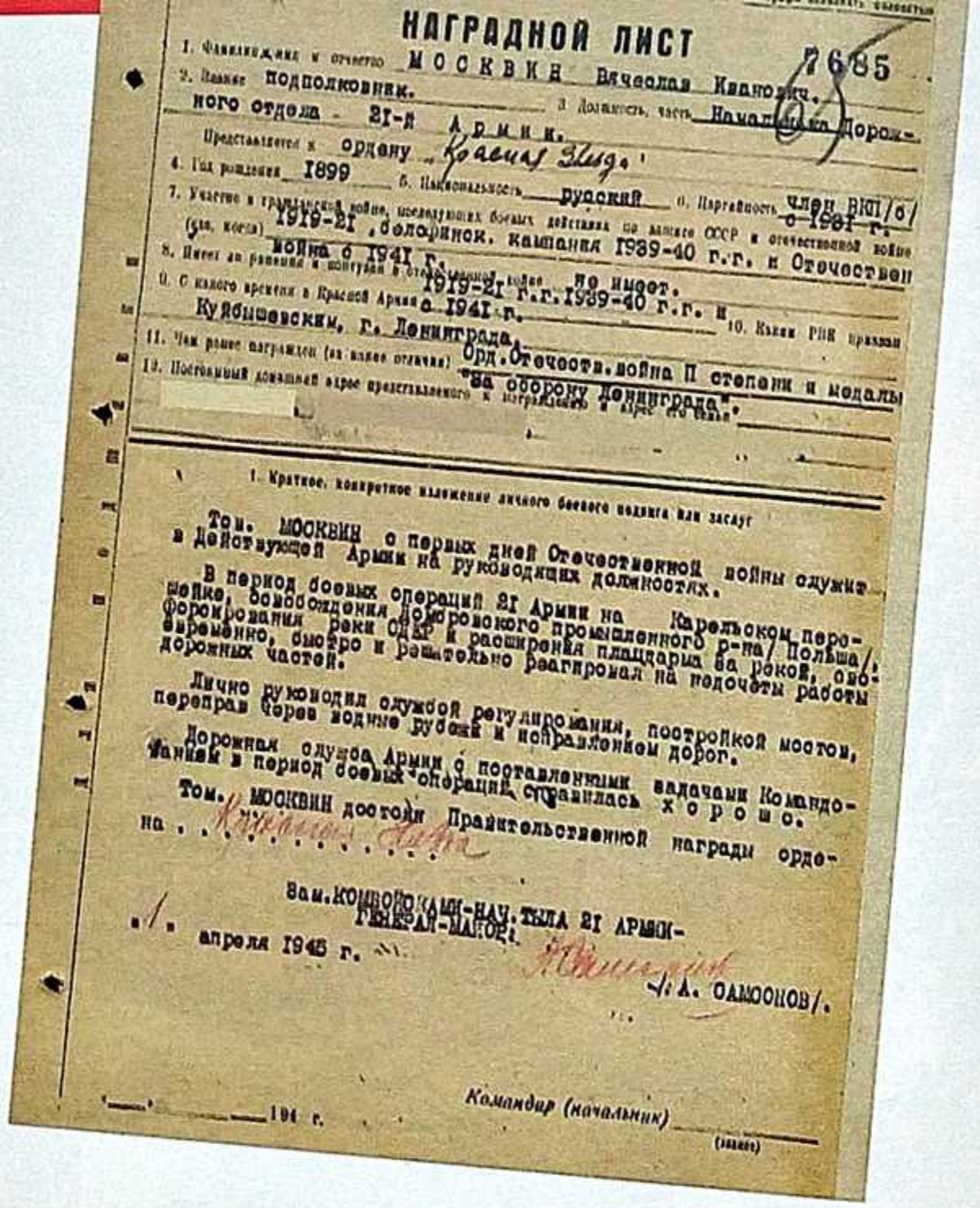

НАГРАДНОЙ ЛИСТ 7685

1. Фамилия, имя и отчество МОСКВИН Вячеслав Иванович.
2. Звание подполковник. 3. Должность, часть Начальника дорожного отдела - 21-й Армии.
Представляется к ордену „Красная Звезда".
4. Год рождения 1899 5. Национальность русский 6. Партийность член ВКП(б) с 1931 г.
7. Участие в гражданской войне, непосредственных боевых действиях на защите СССР и отечественной войне (где, когда) 1919-21 г. добровольцем. Участник 1939-40 г.г. и Отечественной войны с 1941 г.
8. Имеет ли ранения и контузии в отечественной войне Не имеет.
9. С какого времени в Красной Армии с 1919-21 г.г. 1939-40 г.г. и с 1941 г.
10. Какие РНК правил Куйбышевским, г. Ленинграда.
11. Чем ранее награжден (за какие отличия) Орд. Отечеств. война II степени и медаль „За оборону Ленинграда".
13. Постоянный домашний адрес представленного к награждению и адрес его семьи

1. Краткое, конкретное изложение личного боевого подвига или заслуг

Тов. МОСКВИН с первых дней Отечественной войны служит в действующей Армии на руководящих должностях.

В период боевых операций 21 Армии на Карельском перешейке, освобождения Добровольского промышленного р-на /Польша/, форсирования реки ОДЕР и расширения плацдарма на реке, оперативно, быстро и решительно реагировал на недочеты работы дорожных частей.

Лично руководил службой регулирования, постройкой мостов, переправ через водные рубежи и исправлением дорог.

Дорожная служба Армии с поставленными задачами Командованием в период боевых операций справилась хорошо.

Тов. МОСКВИН достоин Правительственной награды ордена .....

Зам. КОМАНДУЮЩЕГО-НАЧ. ТЫЛА 21 АРМИИ-ГЕНЕРАЛ-МАЙОР

„1" апреля 1945 г. /А. САМСОНОВ/.

Командир (начальник) _____ (звание)

_____ 194 г.

Wniosek nagrodowy podpułkownika Moskwina.

Maciej Szczerepa
Historyk, regionalista i publicysta. Zainteresowania: działania militarne na Śląsku i Łużycach w 1945 roku. Współautor książek „Bóbr 1945. Za liniami wroga", „Legnica 1945", „Kierunek Festung Breslau".

fot. zbiory M. Szczerepa

LITERATURA

ЦАМО, Фонд 1580, Опись 1, Дело 72, Журнал боевых действий 282 сд
ЦАМО, Фонд 1009, Опись 1, Дело 97, Журнал боевых действий 117 ск
ЦАМО, Фонд 1009, Опись 1, Дело 81, Документ 128, Оперативная сводка штаба 117 ск с 08.05.1945 г.
ЦАМО, Фонд 375, Опись 6675, Дело 887, Отчетная карта штаба 21 армии на 7.5-8.5 г.
ЦАМО, Фонд 236, Опись 2673, Дело 2697, Журнал боевых действий 21 А за период с 27.3.45 по 14.5.45 г.
ЦАМО, Фонд 33, Опись 690155, ед.хранения: 1968, № записи: 31852409, Фронтовой приказ №: 723/н от: 21.05.1944 г.
ЦАМО, Фонд 33, Опись 690306, ед.хранения: 1585, № записи: 40888156, Фронтовой приказ №: 183/н от: 23.05.1945 г.
ЦАМО, Фонд 33, Опись 690306, ед.хранения: 1928, № записи: 42371267, Фронтовой приказ №: 82/н от: 09.06.1945 г.
Kowalski Jacek, Kudelski Robert, Sulik Robert, Lista Grundmanna, Warszawa 2015
Wróbel Bogusław, Ukryte skarby, Wrocław 2009
http://www.tvn24.pl/wroclaw,44/dziela-sztuki-w-palacu-w-zagorzu-slaskim-wyjechaly-do-zsrr,682691.html
http://nsb-bibliophile.ru/knizhny-mir.html/news_post/trofeynye-knigi-bolshogo-yorka-i-ih-rossiyskaya-sudba

DUFFLE COAT

BARTŁOMIEJ BŁASZKOWSKI

Pomimo ogromnego wpływu na współczesną modę pozostaje ubiorem, którego dzieje są wciąż jeszcze mało znane.

Według dostępnych przekazów jego krój nawiązuje do szytych ręcznie z grubych tkanin wełnianych okryć wierzchnich z kapturem noszonych przez rybaków z Morza Północnego. Charakteryzowały się prostotą, a nawet surowością wykonania oraz dobrymi właściwościami użytkowymi.

Pod koniec lat 50. XIX wieku brytyjska Admiralicja sporządziła projekt nowego ubioru w postaci długiej wełnianej kurtki z kapturem jednakowego wzoru dla wszystkich marynarzy. W 1860 roku zostały opracowane wykroje, na podstawie których firma Ideal Clothing wykonała pierwsze egzemplarze. Trzy lata później odnotowano pierwszy przypadek jego noszenia przez marynarzy Royal Navy podczas wyprawy antarktycznej. Po upływie blisko ćwierćwiecza pojawiła się nazwa Duffle Coat. Słowo: „duffle" („duffel", „daffel") nawiązuje do belgijskiego miasta Duffel, które użyczyło nazwy do określenia jednego z gatunków grubego wełnianego materiału. W 1890 roku został on oficjalnie zatwierdzony do użycia w Royal Navy, a w 1905 roku po raz pierwszy przydzielono go marynarzom okrętów podwodnych. Podczas Wielkiej Wojny był powszechnie używanym elementem ubioru zawsze, gdy wymagały tego warunki pogodowe. Parokrotnie go modyfikowano, jednak najbardziej widoczne zmiany przeszedł

w latach 30. XX wieku, kiedy umieszczone z boku zapięcie przesunięto na środek przodu oraz nadano w Admiralty Fleet Orders nową oficjalną nazwę: Duffle, Long, Coat.

Duffle, Long, Coat

Miał krój sięgającego do kolan płaszcza z kapturem uszytego z grubej tkaniny wełnianej w kolorze określanym w języku angielskim jako camel, czyli wielbłądzim (być może właśnie to sprawiło, że w wielu przekazach bywa błędnie nazywany „płaszczem z wielbłądziej wełny"). W praktyce są to różne odcienie barwy żółtobrązowej. Kaptur z podszewką, regulowany ściągaczem, na obrzeżu posiadał zawiniętą zakładkę, zespoloną ośmioma mosiężnymi zatrzaskami (analogicznymi do używanych w brytyjskim oporządzeniu – na przykład w futerałach do pistoletów czy ładownicach). Ubiór był wzmocniony łatami z tkaniny na ramionach oraz w górnej partii pleców. Z przodu miał zapięcie na trzy drewniane kołki oraz trzy pętle ze sznura. Rozwiązanie takie ułatwiało zapinanie i rozpinanie nawet rękoma odzianymi w grube rękawice. Pod szyją znajdował się prostokątny ściągacz zapinany na dwa guziki z tworzywa sztucznego. Dwie prostokątne otwarte kieszenie naszyte były na połach i lekko przesunięte ku przodowi – ich krój zapewniał łatwy dostęp do wnętrza, natomiast wielkość umożliwiała schowanie na przykład zdjętych rękawic. Rękawy miały ściągacze w formie prostokątnych pasków zapinanych na guziki. Strona wewnętrzna ubioru była bez podszewki, posiadała płócienne wzmocnienia w miejscach wszycia kołków, pętelkowy wieszak oraz dwa paski zapinane na guziki, służące do podpięcia poły.

Najprawdopodobniej w 1943 roku poddano go modyfikacji mającej na względzie wojenne oszczędności: kaptur pozbawiono zakładki, zatrzasków i podszewki, usunięto ściągacz pod szyją oraz paski do podpinania poły. Ściągacz kaptura umieszczono w płóciennym obszyciu przy krawędzi obrzeża. Dotychczasowe trzy kołki i pętle zapięcia zastąpiły cztery, co polepszyło walory użytkowe.

Duffle Coat szyty był również na potrzeby rodzimych flot wojennych w niektórych krajach Wspólnoty Brytyjskiej. Płaszcze te nawiązywały dość ściśle do swojego pierwowzoru za wyjątkiem Kanady, gdzie do ich produkcji używano granatowej tkaniny wełnianej. Mogło się zdarzyć, że w ramach doraźnych uzupełnień braków były one przydzielane na jednostki pływające Royal Navy przebywające w kanadyjskich portach. Wspomniane odmiany mogły być używane na jednym okręcie równocześnie.

Dostępny był w trzech wielkościach: small (mały), medium (średni), large (duży). Zazwyczaj noszono go o jeden rozmiar większy, aby można było ubrać pod nimi kilka warstw dodatkowej odzieży. Jak wyglądało to w praktyce, dobrze ilustruje fragment wspomnień adm. Jerzego P. Tumaniszwili:

„Byliśmy na lewym skrzydle osłony tego konwoju. Pomimo ciepłego ubrania było mi potwornie zimno. A przecież na ciepłą bieliznę, od stóp do szyi, włożyłem koszule, wełniane skarpety sięgające do kolan. Pod marynarkę gruby, wełniany sweter, dookoła szyi szalik. Na marynarski krótki kubraczek włożyłem duffel coat. Na rękach miałem skórzane, długie rękawice wyłożone futrem, a na twarzy »balaklawę« osłaniającą tylko oczy, nos i usta. Wisiały na niej słuchawki telefoniczne, łączące mnie z posterunkami obserwatorów i obsadą uzbrojenia. Ciepła, >>>

Marynarz z ORP „Garland" w Duffle Coat pierwszej wersji na zdjęciu dobrze ukazującym detale kroju.

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

DUFFLE COAT PIERWSZEJ WERSJI

Egzemplarz na zdjęciu po wojnie przywieziony został przez jednego z powracających do kraju oficerów PSZ i w trakcie długotrwałego użytkowania zostały usunięte kołki i pętle, które zastąpiono guzikami.

Zatrzaski na obrzeżu kaptura.

Kaptur pierwszej wersji z zatrzaskami oraz ściągacz pod szyją.

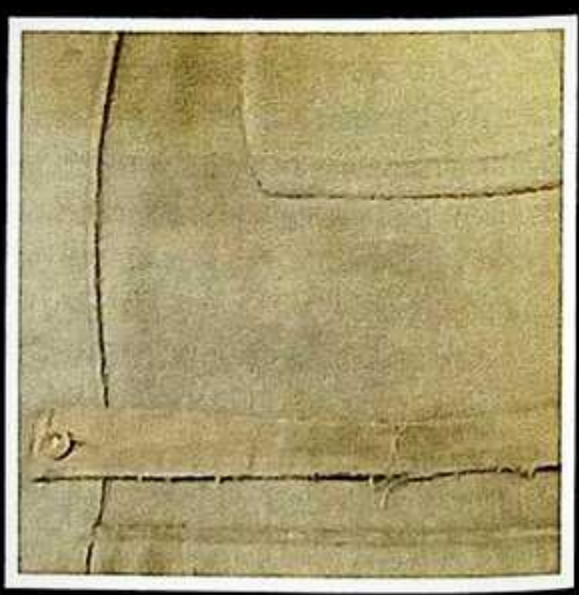

Taśma do podpięcia poły.

>>> wełniana czapeczka narciarska dopełniała ten podbiegunowy strój. Opasany byłem nadymanym pasem ratunkowym, na szyi wisiała lornetka, na nogach miałem długie gumowe buty. Tak ubierali się ci, których stanowiska bojowe były na odkrytym pokładzie". (J. Tumaniszwili, „Na wachcie bojowej", Cała naprzód!, mps niepubl., s. 1)

Ubiór należał do tak zwanej „loan clothing" (pożyczanej odzieży), to znaczy nie był fasowany indywidualnie przez każdego marynarza, lecz udostępniany w razie potrzeby ze znajdującego się na okrętach przydziału. Jego wielkość określana była według specjalnego rozdzielnika. I tak na przykład na pancerniki trafiał w liczbie 200–250 sztuk, niszczyciele – 25 sztuk, okręty podwodne – 8–10 sztuk. W praktyce normy te były większe, szczególnie dla załóg pełniących służbę na akwenach północnych i w konwojach arktycznych do ZSRS.

Przepisy precyzowały, że mógł on być używany wyłącznie podczas pełnienia służby na okręcie. Na lądzie dopuszczano go do noszenia tylko na terenie portów.

Charakter ubioru wykluczał umieszczanie na nim jakichkolwiek odznak czy też oznak. Według zapisu relacji artylerzysty st. mar. Kazimierza Dębskiego, który pełnił służbę na krążowniku ORP „Dragon" i niszczycielu ORP „Błyskawica" na plecach płaszczy były malowane olejną farbą cyfrowe oznaczenia określające zajmowaną pozycję przy dziale. Było to postępowanie indywidualne, jednostkowe, nigdzie nieregulowane zarządzeniami. Niektóre źródła ikonograficzne wskazują nam na analogiczne zjawisko w Royal Navy. Możemy wyrazić przypuszczenie, że liczba i charakter takich nieformalnych oznaczeń może być większa.

Duffle Coat – choć ciężki i krępujący ruchy – skutecznie chronił przed zimnem. W 1956 roku zakończył swoją wieloletnią służbę w Royal Navy. >>>

fot. Bartłomiej Błaszkowski, zbiory autora

„Polish Sailor" w Duffle Coat na fotografii stanowiącej element waloru filatelistycznego wydanego staraniem Fundacji Sztandarów Polskich Sił Zbrojnych w Londynie z okazji Święta Żołnierza w 1982 roku.

Damska kurtka przeznaczona do noszenia w sezonie wiosennym i jesiennym – jeden z wielu istniejących w XXI wieku przykładów wyraźnego nawiązywania do Duffle Coat. W tle HP „Nadbór", jedyny w Polsce śródlądowy statek parowy zachowany w stanie bliskim pierwotnemu.

Duffle Coat na znaczku pocztowym serii wydanej przez Royal Mail w 2009 roku prezentującej mundury Royal Navy na przestrzeni wieków.

Inni wojenni użytkownicy

Do grona tego w czasie II wojny światowej winniśmy zaliczyć osoby niezwiązane z marynarką wojenną, a przebywające na okrętach w czasie jednego bądź więcej rejsów. Byli wśród nich między innymi politycy – by wymienić tylko premiera Winstona S. Churchilla, korespondenci wojenni, czy też przydzielani oficerowie wojsk lądowych i lotnictwa. Interesującym przyczynkiem w tej kwestii może być relacja F/Lt. pil. Jana Malińskiego, który w 1943 roku był czasowo odkomenderowany z 307 Dywizjonu Myśliwskiego Nocnego „Lwowskich Puchaczy" na operujący w obszarze Zatoki Biskajskiej krążownik HMS „Glasgow". Na okręcie tym objął funkcję kontrolera naprowadzania i w tym czasie używał Duffle Coat.

Sporadycznie mógł występować jako element ubioru wachtowego w brytyjskiej marynarce handlowej, ale zaznaczmy wyraźnie, że jego obecność nie była wynikiem przydziałów, lecz indywidualnych inicjatyw.

Warto również odnotować, że płaszcz ten bywał pozaregulaminowo noszony przez niektórych oficerów armii brytyjskiej. Najbardziej znanym jego użytkownikiem pozostaje Field Marshall Bernard L. Montgomery.

Kariera cywilna

Po zakończeniu działań wojennych duże partie płaszczy trafiły do obrotu rynkowego. Firmy handlujące demobilem, na przykład londyński Silverman's, dysponowały pewną ich liczbą jeszcze pod koniec lat 80. XX w. Egzemplarze w posiadaniu niewojskowych użytkowników były często przerabiane. Trafiały one również do Polski za pośrednictwem powracających żołnierzy PSZ, bądź też wysyłanych paczek odzieżowych.

Duża łatwość zbytu oraz popyt sprawiły, że w połowie lat 50. XX wieku niektórzy przedsiębiorcy poczęli myśleć o wznowieniu jego produkcji w zmodyfikowanym kształcie. Dobrym przykładem mogą być Harold i Freda Morrisowie, dla których ubiór ten stał się inspiracją i początkiem firmy Gloverall. W XXI w. uznawana jest ona za „ikonę" współczesnego Duffle Coat, a jej oferta zdumiewa ogromem różnorodności. Jeden z jego współczesnych wytwórców, podkreślając walory użytkowe, uważa go za „najlepszy ubiór na wszystkie słoneczne dni na naszej wyspie..."

Dodatkowej popularności przysporzyli mu znani użytkownicy. W społecznym odbiorze uznawany bywa wręcz za atrybut wielu postaci brytyjskiego świata polityki, kultury i rozrywki, by przywołać w tym miejscu laboyrzystę Michaela M. Foot'a, czy też pełnego uroku misia Paddingtona.

Wypromowanie i upowszechnienie tego modelu odzieży, w połączeniu z jego niewątpliwymi zaletami sprawiło, że szybko znalazł on licznych naśladowców na całym świecie.

Dwaj marynarze z ORP „Garland" – pierwszy z lewej w Duffle Coat.

Zakończenie

Nasz tekst, choć w zamierzeniu jest jedynie przyczynkiem ograniczającym się do lat II wojny światowej, pozwala zauważyć, że historia Duffle Coat przeplata na swoich kartach dwa wątki: wojenno-morski i cywilny. Pierwszy, po upływie blisko wieku, stanowi zamknięty już rozdział. Drugi trwa nieprzerwanie, i może właśnie dlatego, widząc ten charakterystyczny ubiór w naszym otoczeniu, winniśmy pamiętać o jego genezie.

Bartłomiej Błaszkowski
Historyk, miłośnik kotów.

BIBLIOGRAFIA

ŹRÓDŁA DRUKOWANE
Admiralty Fleet Orders (różne lata)

PUBLIKACJE KSIĄŻKOWE (WYBÓR)
M. J. BRAYLEY, „Royal Navy Uniforms" 1930-1945, Ramsbury 2014
P. DARMAN, „Mundury II Wojny Światowej", Warszawa 1998
D. JARRET, „British Naval Dress", London 1960
S. KOMORNICKI, Z. BIELECKI, W. BIGOSZEWSKA, A. JOŃCA, „Wojsko Polskie 1939 – 1945. Barwa i Broń", Warszawa 1990
R. WILKINSON-LATHAM, G. EMBLETON, „The Royal Navy 1790-1970", Osprey 2005
I. SUMMER, A. BAKER, „The Royal Navy 1939-45", Osprey 2001.

NIEPUBLIKOWANE WSPOMNIENIA
J. TUMANISZWILI, „Cała naprzód!", mps niepubl.

INTERNET
http://www.dufflecoatsuk.co.uk/about (dostęp 13 lutego 2018 r.)
http://www.gloverall.com/ (dostęp 13 lutego 2018 r.)

RELACJE
Śp. Peter Bandy, Śp. Kazimierz Dębski, Śp. Tadeusz Lesisz, Śp. Jan Maliński, Śp. Józef Z. Nitecki, Patricia i Śp. Jerzy Junosza-Stępowscy, Śp. Stanisław Traszko, Śp. Jerzy Tumaniszwili, Martin F. Walsh, Śp. Leonard Wójcicki.

UDOSTĘPNIONE ZBIORY, POMOC MERYTORYCZNA
Wiesław Dubaniowski, Marek Dzięgiel, Christopher Greenway, Ireneusz Kruk, Alf Muffet, Śp. Daromił T. Miarczyński, Patrick Roberts, Śp. Adam Szymański.

fot. Bartłomiej Blaszkowski, Narodowe Archiwum Cyfrowe

DUFFLE COAT DRUGIEJ WERSJI

wyprodukowany w 1944 roku przez firmę Redman Bros.

Zbliżenie kaptura w wersji uproszczonej.

Metka producenta.

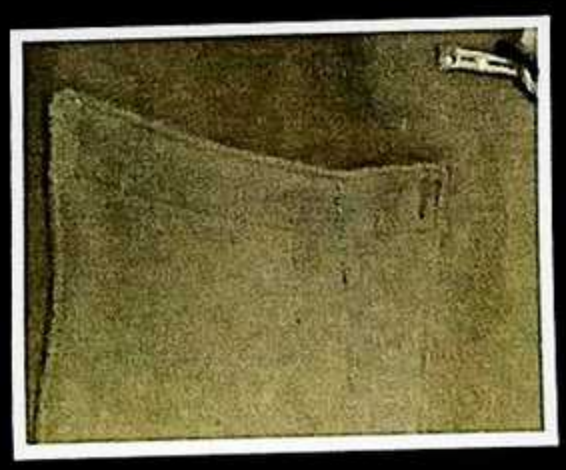

Jedna z kieszeni.

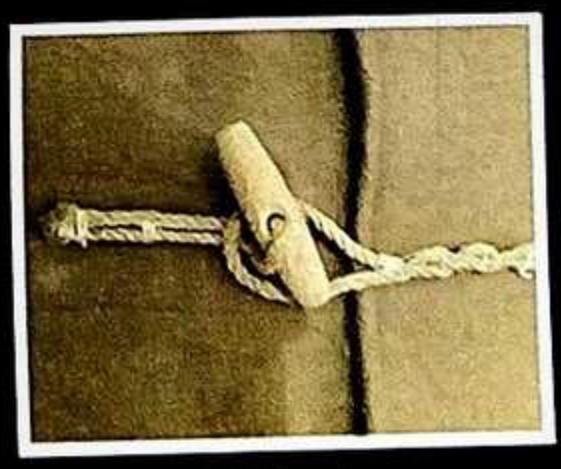

Zapięcie na kołek i pętle.

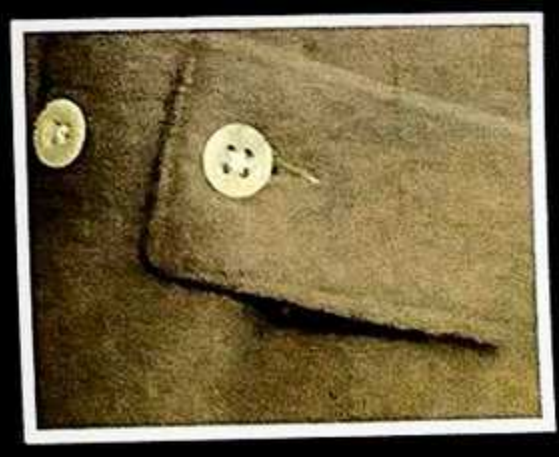

Rękaw ze ściągaczem.

SCHRONY WĘZŁÓW ŁĄCZNOŚCI KOLEJOWEJ BASA

CZĘŚĆ 1

BOGUSŁAW MUSIELAK

Niemiecki system łączności stworzony z myślą o przewozach kolejowych uruchomiony w 1928 roku. Oparty na specjalistycznym sprzęcie opracowanym przez firmę Siemens&Halske.

W latach trzydziestych ubiegłego wieku elementy systemu BASA (BAhn-Selbstanschluss-Anlage) zostały połączone w jedną całość, umożliwiając skoordynowanie całej niemieckiej sieci przewozów kolejowych. Podczas II wojny sieć objęła całą okupowaną Europę, tworząc jeden z najlepszych systemów łączności. Był to zarazem pierwszy w historii Europy automatyczny system łączności o zasięgu kontynentalnym. Posiadanie takich możliwości w zakresie centralnego sterowania ruchem kolejowym stwarzało ogromne możliwości logistyczne szybkiego przemieszczania wojsk oraz odpowiedniego reagowania na potrzeby gospodarki wojennej na całym obszarze okupowanej Europy.

Geneza budowy schronów

Alianckie naloty podczas wojny stanowiły zagrożenie dla funkcjonowania łączności przez możliwość zbombardowania ważnych węzłów systemu. Stąd wziął się pomysł budowy schronów dla umieszczenia w nich istotnych zasobów systemu BASA. Schrony takie były budowane jedynie w najważniejszych węzłach (należał do nich Poznań). Nie było standardowego projektu. Każdy schron był inny. Projekty były adaptowane pod kątem konkretnej lokalizacji terenowej, ale zawsze w pobliżu innych budynków związanych z kolejami. Największy z takich schronów został wybudowany w Berlinie w 1942 roku i istnieje do dzisiaj zaadaptowany na galerię sztuki.

Schron BASA w Poznaniu

W samym centrum Poznania w rejonie skrzyżowania ulic: Kościuszki, Taczaka i Taylora, praktycznie niewidoczny dla zwykłego przechodnia, znajduje się właśnie taki schron (rys. 1). Do końca XX wieku był obiektem dość tajemniczym. Osoby, które wiedziały „więcej", stanowiły dość wąski krąg. Ich wiedza dotyczyła jedynie czasów współczesnych, natomiast dlaczego i po co wybudowano ten schron, to chyba nikt nie dociekał. Po 2000 roku w publikacjach związanych tematycznie z fortyfikacjami Poznania pojawiły się pewne informacje o schronie[1,2]. Były one jednak dość ogólne. Chciałbym tym artykułem poszerzyć wiedzę o tym obiekcie.

Poznański schron wybudowano jesienią 1944 roku, choć niewykluczone, że pewne prace przygotowawcze realizowano już od wiosny. Główna bryła lana z betonu musiała być wykonana przed zimowymi mrozami. Natomiast prace we wnętrzu mogły być prowadzone zimą.

Konstrukcja

Bryłę zasadniczą zbudowano na planie prostokąta o wymiarach >>>

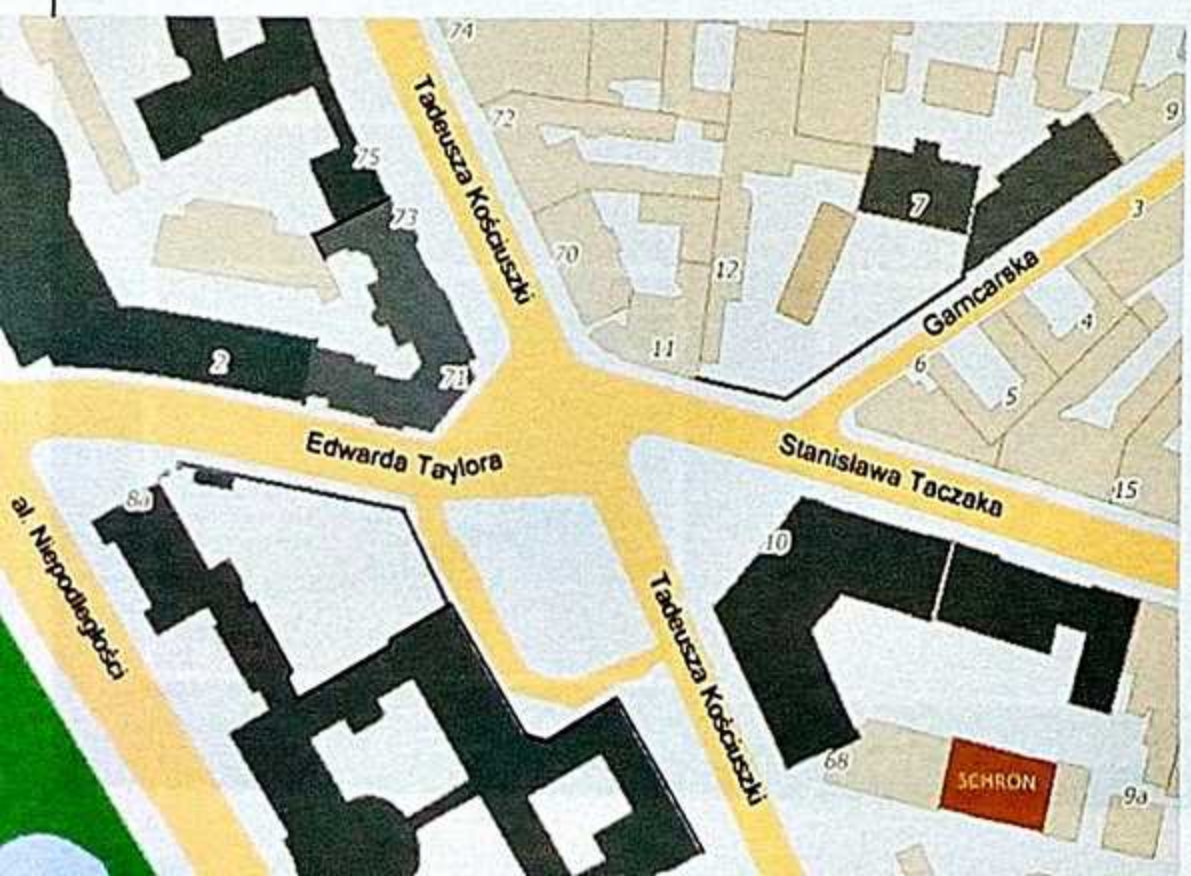

rys. 1 Plan umiejscowienia schronu.

fot. rys. Bogusław Musielak

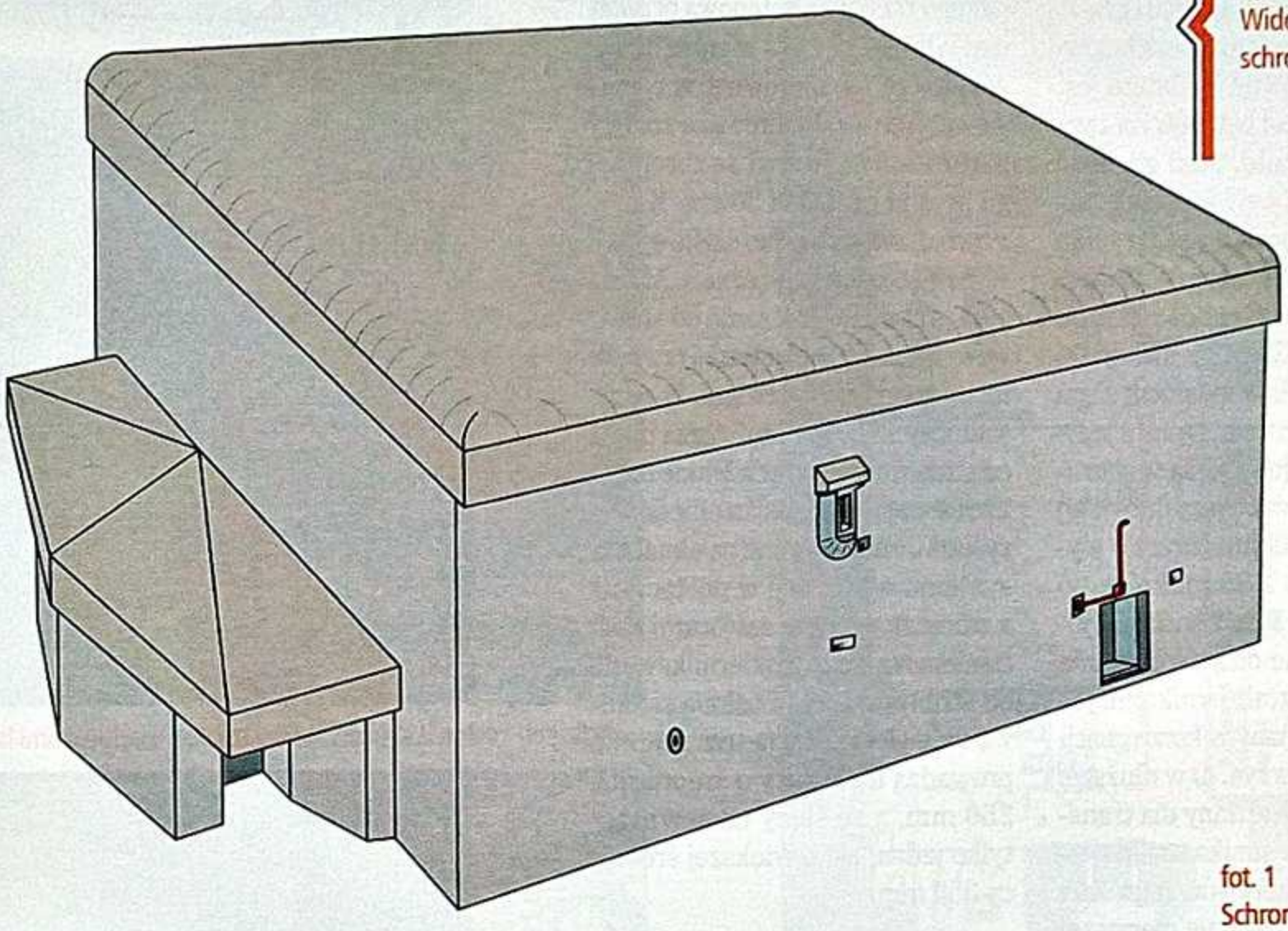

Rys. 2
Widok ogólny schronu.

fot. 1
Schron łączności kolejowej.

>>> 22 x 15 m i wysokości 13 m nad poziomem gruntu (rys. 2, fot. 1 – na poprzedniej rozkładówce). Wejście główne osłonięte jest od przodu blokiem betonowym tworzącym przelotnię. Stąd grubość ściany „wejściowej" jest zmienna (2 do 4 m), natomiast reszta ścian zewnętrznych na całym obwodzie ma równo 2 m. Grubość stropu waha się od 2,50 m na skraju do 2,80 m na środku. Fundament sięga 2,60 m poniżej gruntu. Oprócz jedynego normalnego wejścia w schronie wykonano dwa otwory drzwiowe o charakterze technicznym o wymiarach 1,90 x 1,35 m, które po wykorzystaniu były konstrukcyjnie przeznaczone do zablokowania metalowymi kształtownikami. Jeden otwór wykonany w kondygnacji parterowej (13 na rys. 4) w dłuższej ścianie był przewidziany dla transportu elementów silnika spalinowego i agregatu prądotwórczego oraz drugi otwór na poziomie pierwszej kondygnacji w ścianie tylnej (4 na rys. 6 – na kolejnej rozkładówce) przewidziany do współpracy z dźwigiem suwnicowym, którego dźwigar (ciągle widoczny na zewnątrz schronu – fot.1 – na poprzedniej rozkładówce) został umieszczony prostopadle do ściany schronu nad tym otworem drzwiowym. Suwnica ta zapewne miała służyć do transportu dużych i ciężkich elementów wyposażenia telekomunikacyjnego schronu.

Stropy podtrzymywały trzy betonowe filary o przekroju kwadratowym 60 x 60 cm. Ścianki działowe dzielące wnętrze schronu na poszczególne pomieszczenia mają w większości grubość 12 cm i były wykonane z cegły. Przepierzenia (np. w sanitariatach) wykonano z płyt drewnianych o grubości 4 cm. Jedynie niektóre ściany miały być bardziej wzmocnione do grubości 25 cm. Do przemieszczania się pomiędzy kondygnacjami służy dwubiegowa klatka schodowa.

Blok wejściowy do schronu (rys. 5, fot. 7 – na kolejnej rozkładówce) usytuowany w krótszej ścianie ma postać wejścia labiryntowego osłoniętego masywną betonową przelotnią. Wejście zawiera w sobie śluzę, w której od strony zewnętrznej oraz wewnętrznej zamontowane zostały bardzo solidne drzwi ze zbrojonego betonu grubości 30 cm. Każde z tych drzwi są bardzo ściśle spasowane z betonową ościeżnicą. Można było je otwierać tak samo od strony wewnętrznej i zewnętrznej przy pomocy specjalnych dźwigni. Poza zasadniczymi „ciężkimi" śluza miała od stron wewnętrznych lekkie drzwi zwiększające gazoszczelność. Na rysunku zobrazowane są elementy systemu wentylacji w postaci rur z zainstalowanymi zaworami nadciśnieniowymi jednokierunkowymi od strony wnętrza i osłoną siatkową na wylocie. Z wnętrza schronu prowadzą dwie rury o średnicach 250 mm, a ze śluzy na zewnątrz tylko jedna, ale o większej średnicy 350 mm.

Przeznaczenie poszczególnych kondygnacji

Parter schronu to poziom z techniczną infrastrukturą mającą zapewnić warunki do prawidłowego funkcjonowania reszty obiektu (rys.4).

Na tym poziomie miały znaleźć się:

– elementy rozbudowanego systemu wentylacji z klimatyzacją (fot.6); >>>

fot. 2 Kablownia ze stojakami i głowicami kablowymi.

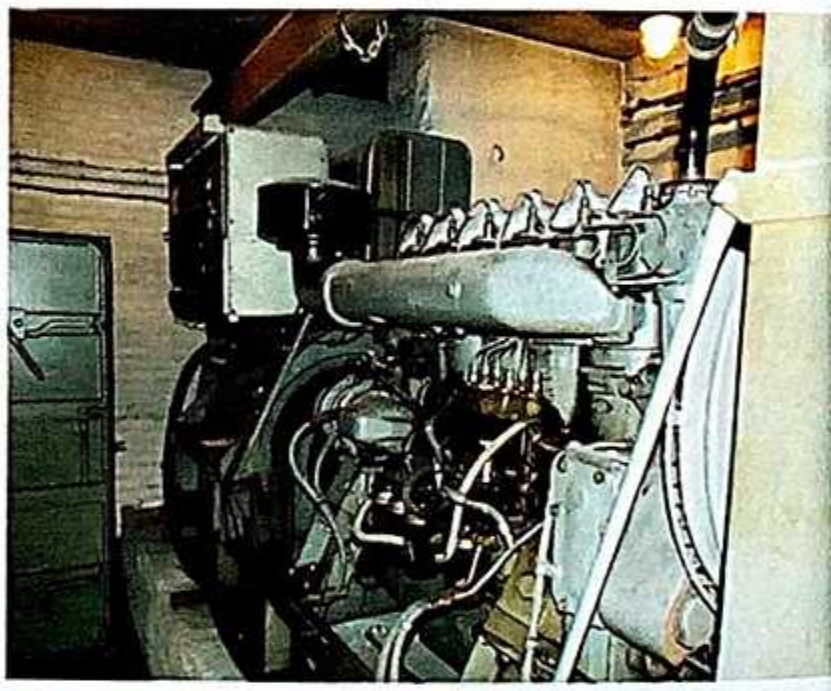

fot. 4 Agregat zasilania awaryjnego.

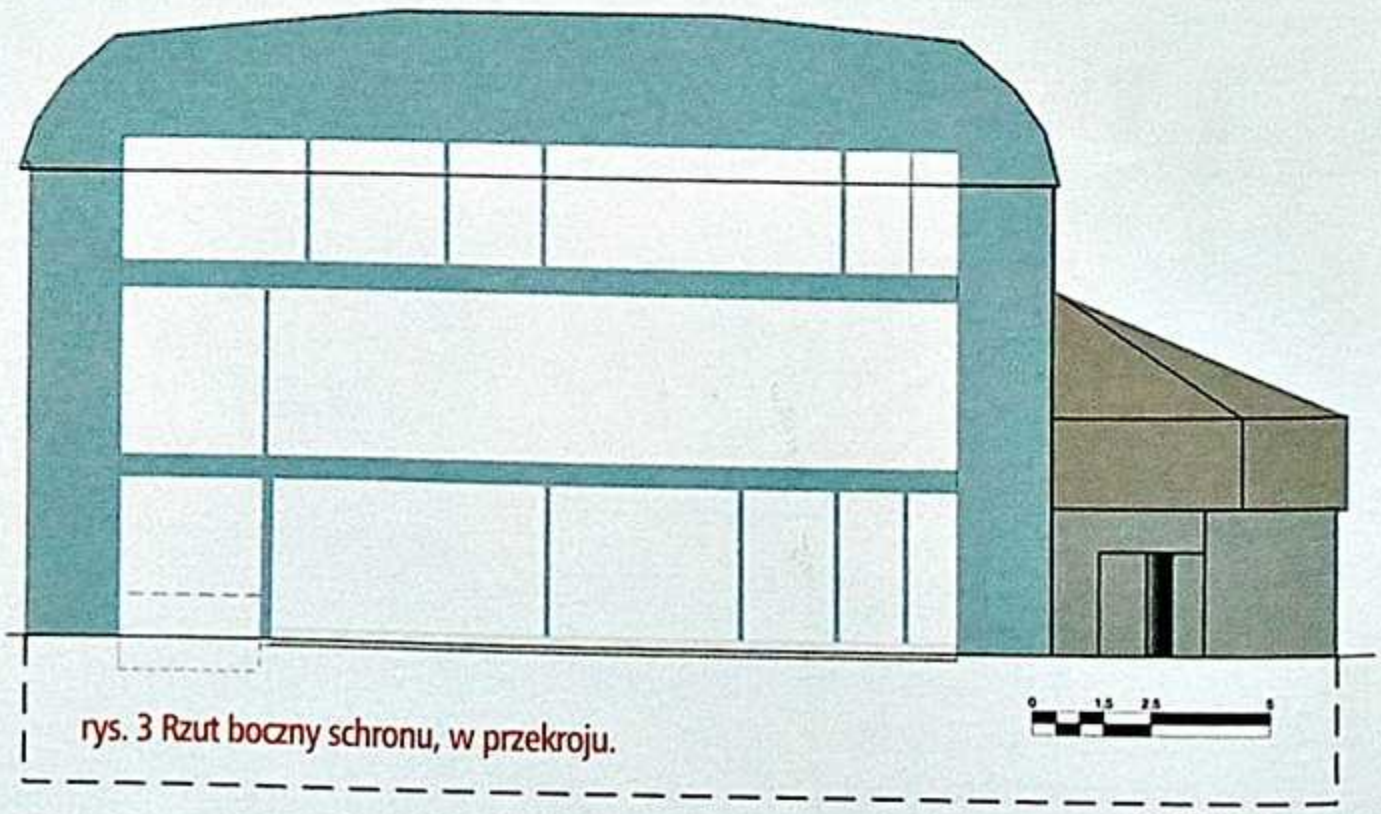

rys. 3 Rzut boczny schronu, w przekroju.

Rys. B.Musiolak

ot. 3 Przepust wprowadzenia kabli telekomunikacyjnych z zewnątrz do kanału.

fot. 5 Kanał kablowy.

fot. rys. Bogusław Musielak

fot. 6 Filtrowentylatory.

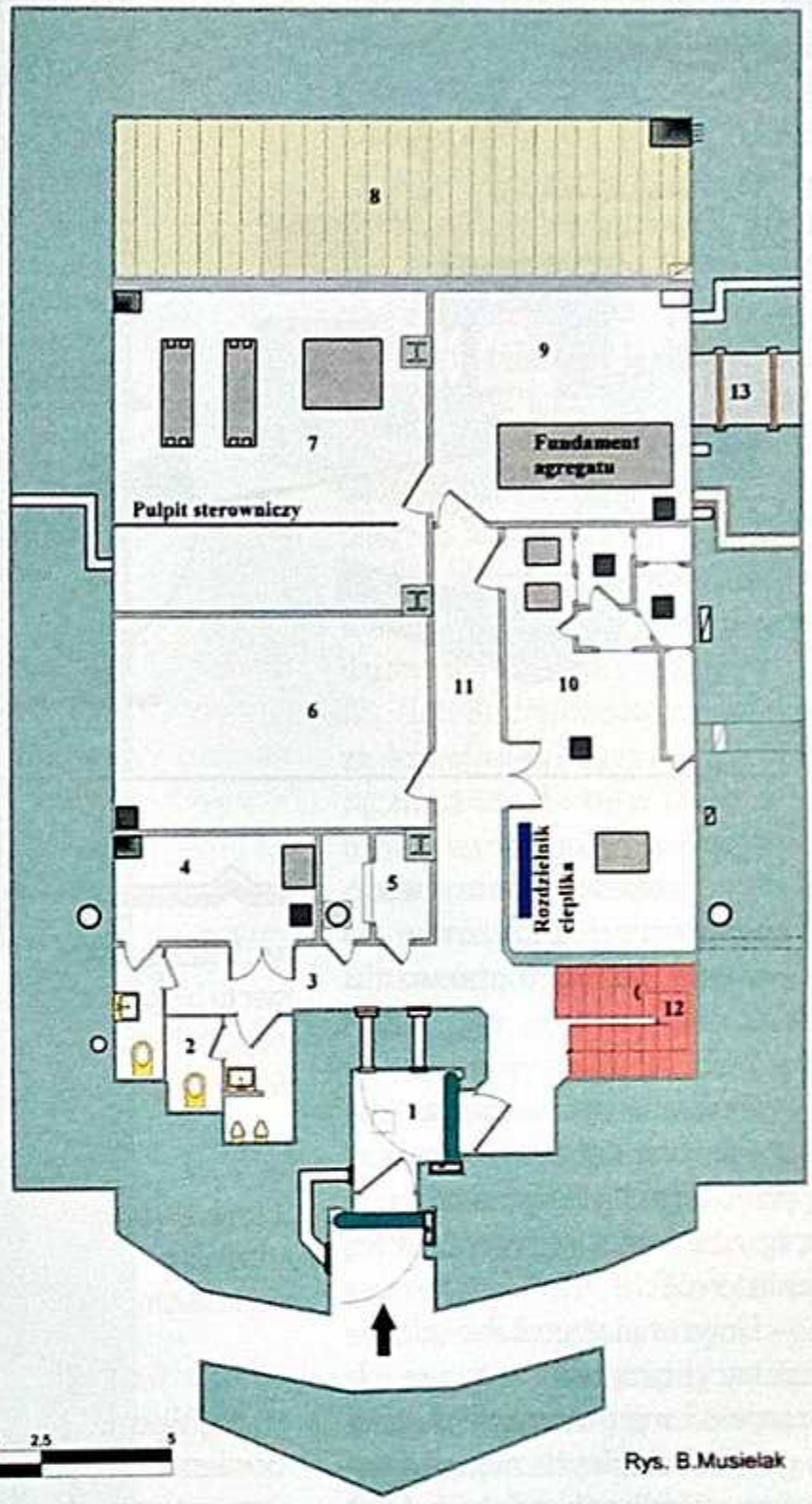

Rys. B.Musielak

rys. 4 Rzut kondygnacji parterowej (przyziemia)

1 – śluza wejściowa
2 – sanitariaty (WC)
3 – korytarz
4 – komora z urządzeniem chłodniczym
5 – komora powietrzna (rozprężna)
6 – akumulatornia
7 – maszynownia
8 – kablownia + kanał kablowy
9 – pomieszczenie agregatu prądotwórczego
10 – filtrowentylatory i rozdzielnik cieplika
11 – korytarz
12 – klatka schodowa
13 – otwór techniczny

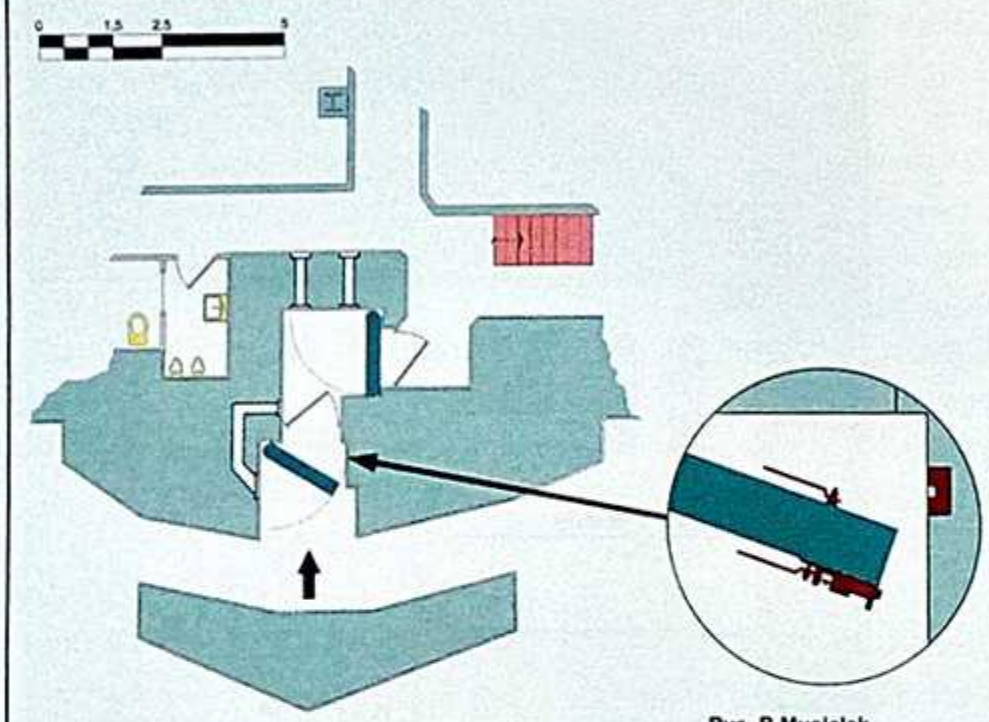

Rys. B.Musielak

>>> – węzeł zasilania w wodę oraz odprowadzenia ścieków;

– węzeł cieplny (ogrzewanie obiektu);

– WC;

– Zasilanie energetyczne, zewnętrzne i wewnętrzne (akumulatory, przetwornice elektromechaniczne, agregat – fot. 4 – na poprzedniej rozkładówce);

– Doprowadzenie kabli telekomunikacyjnych oraz wstępne ich rozszycie i wprowadzenie wiązek do głowic kablowych zamontowanych na specjalnych stojakach. Stąd przez otwór można było wyprowadzić kable zakończeniowe na wyższą kondygnację do pomieszczenia przełącznicy.

Na samym końcu tej kondygnacji za ślepą ścianą odgraniczającą od wcześniejszych pomieszczeń (7) i (9) znajduje się właśnie pomieszczenie mieszczące kanał kablowy (8). Zajmuje ono poprzecznie całą przestrzeń od jednej bocznej ściany do drugiej. Podłoga w stosunku do poziomu kondygnacji parterowej jest obniżona o 1 m, dlatego by z jednej i drugiej strony można było przez specjalne przepusty wykonane w fundamencie (fot. 3 – na poprzedniej rozkładówce) wprowadzić bezpośrednio z zewnętrznych kanałów kable telekomunikacyjne. Na wysokości 1,50 m od dołu na

rys. 5 Rzut fragmentu bloku wejściowego, w przekroju.

fot. 7
Śluza wejściowa z drzwiami wejściowymi.

fot. 8
Największe pomieszczenie przeznaczone do instalacji centrali.

fot. 9
Miejsce wyprowadzenia kabla antenowego – „wykusz antenowy".

fot. rys. Bogusław Musielak

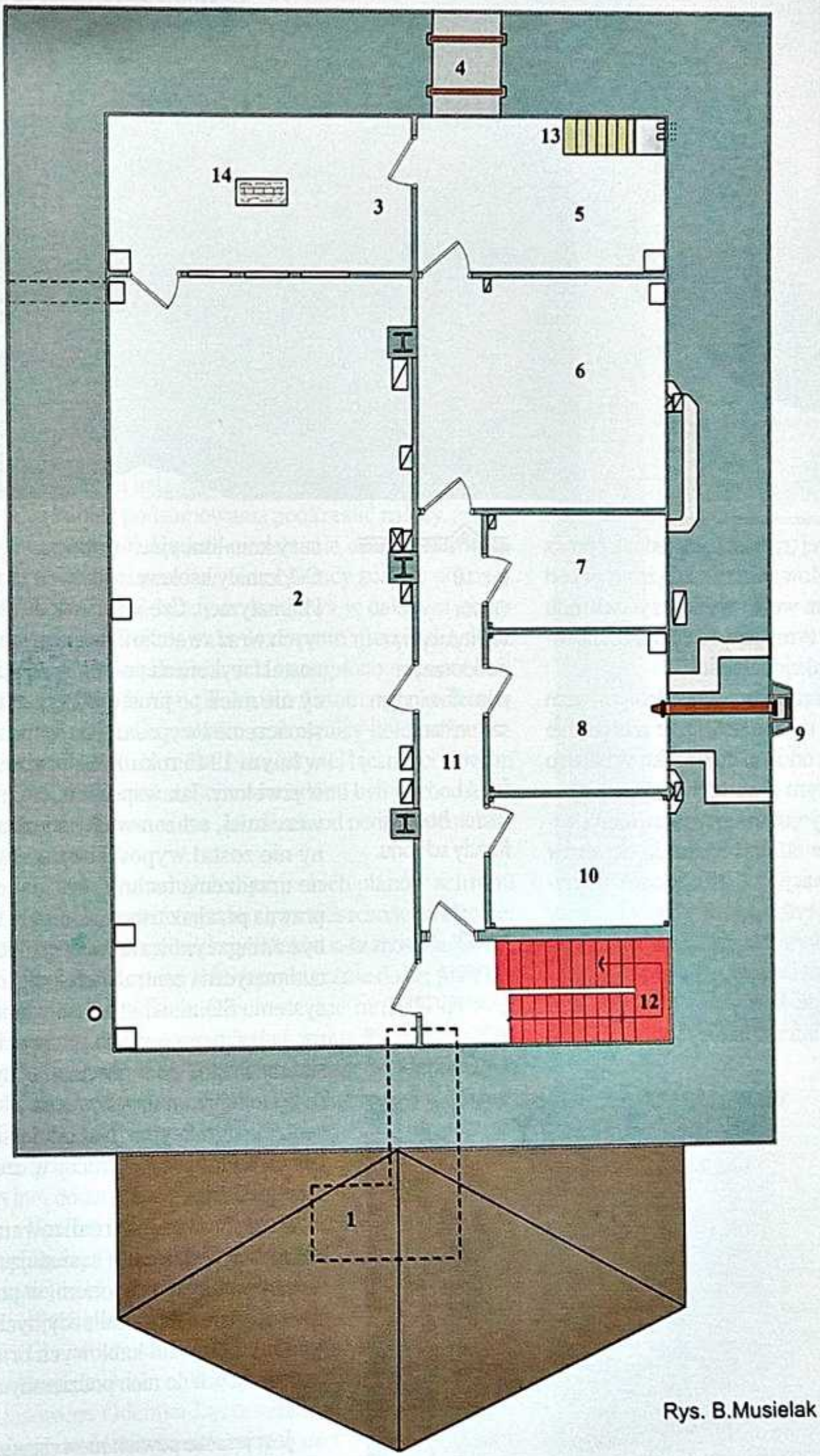

Rys. B.Musielak

rys. 6 Rzut pierwszego piętra
1 – pomieszczenie techniczne nad śluzą
2 – centrala telefoniczna
3 – przełącznica
4 – otwór techniczny
5 – pomieszczenie pomiarowe
6 – dalekopis
7 – przyjmowanie informacji o awariach
8 – pomieszczenie radiooperatora
9 – wyprowadzenie kabla antenowego
10 – warsztat
11 – korytarz
12 – klatka schodowa
13 – otwór zejścia do kablowni
14 – przepust w podłodze

całej powierzchni ułożono na drewnianych belkach podłogę z desek, dzieląc to pomieszczenie na dwie komory dolną (fot. 5 – wspomniany wcześniej kanał kablowy – na poprzedniej rozkładówce) i górną (fot. 2 – kablownię – na poprzedniej rozkładówce).

Piętro pierwsze jest kondygnacją realizującą zasadnicze funkcje, dla których wybudowano schron. Zostało przeznaczone w całości dla potrzeb węzła łączności (rys. 6).

Dla abonenckiej centrali telefonicznej w schronie było przewidziane największe pomieszczenie (2), (fot. 8). Natomiast sąsiadująco za ścianą zlokalizowana była przełącznica (3). To tutaj przez przepust w stropie miały być doprowadzone rozszyte kable z kablowni (14 na rys. 6). Inne pomieszczenie (8) zostało przeznaczone na potrzeby łączności radiowej. Tu zapewne swoje miejsce pracy miał radiooperator i tu też został zainstalowany pulpit manipulacyjny radiostacji. Stąd miał być wyprowadzony (9) kabel do anteny zewnętrznej (fot. 9). Na tym poziomie znajdował się też pokój pomiarowy (5) wyposażony w odpowiednią aparaturę pomiarową do lokalizacji uszkodzeń na kablach telekomunikacyjnych. W jego narożniku (13) było zejście po klamrach do kablowni i niżej do kanału kablowego, normalnie zaślepione deskami.

Piętro drugie [rzut na kolejnej stronie – przyp. red.], najwyższe, to pomieszczenia przeznaczone głównie dla personelu takiego jak dowództwo, dyżurni, drużyny zadaniowe (rys. 7 – na kolejnej rozkładówce). Umiejscowiony był tu też główny węzeł sanitarny (WC, umywalnie).

Wykorzystanie w czasie wojny

Nie znaleziono żadnych wzmianek, by schron wykorzystano podczas walk o Poznań w 1945 roku. Bojowo na pewno schronu nie wykorzystano. Mógł być on >>>

>>> wykorzystany jako chwilowe miejsce ukrycia lub jako punkt sanitarny.

Po wojnie

Bezpośrednio po wojnie schron pełnił on rolę magazynu. Później przejęła go Obrona Cywilna. Nie ma precyzyjnych informacji, kiedy to nastąpiło. Zrealizowano tam zapasowy punkt łączności wraz z punktem doraźnej pomocy medycznej. Największe pomieszczenie przeznaczono na salkę szkoleniową. W okresie tzw. „zimnej wojny" w przypadku wybuchu konfliktu zbrojnego miał on pełnić funkcję centralnego punktu dowodzenia Obroną Cywilną PKP w Poznaniu.

Podsumowanie

Istotne jest, że gdy przystępowano do budowy tego schronu ważny punkt łączności kolejowej niemieckiego systemu BASA już istniał w Poznaniu w budynku tzw. Starej Dyrekcji Kolei. O tym szczegółowo w części drugiej w kolejnym numerze czasopisma.

Nie ma natomiast wątpliwości, że ten schron został wybudowany z przeznaczeniem zabezpieczenia ważnego węzła łączności kolejowej niemieckiego systemu BASA. Miał on mieścić automatyczną centralę łączności przewodowej, urządzenia końcowe przewodowej łączności telegraficznej (dalekopisy) oraz urządzenia bezprzewodowej łączności radiowej (radiostacje). Jednak oprócz wybudowania nie zdążono przed końcem wojny wyposażyć schronu i co za tym idzie uruchomić założonej funkcjonalności.

Z dużym prawdopodobieństwem można też stwierdzić, że schron jako całość oddano do użytku w bardzo surowym stanie. Świadczą o tym między innymi pozostawione i widoczne do dziś szalunki otworów w elewacji (fot. 10). Środek zawierał też tylko podstawowe elementy budowlane zrealizowane wraz z zasadniczą budową, czyli: klatkę schodową, główne ściany działowe, elementy infrastruktury technicznej jak

fot. 10
Otwór wentylacyjny z widocznym pozostawionym szalunkiem.

fot. 11
Widok bocznej fasady schronu.

fot. 12
Korytarz wewnętrzny.

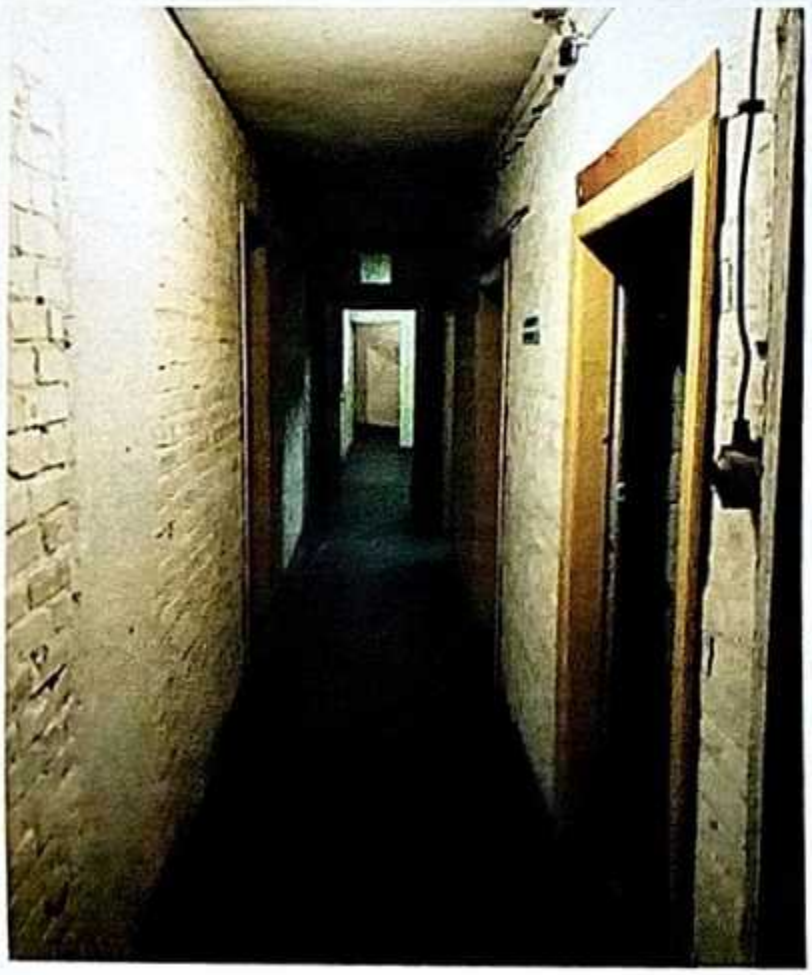

rury kanalizacyjne i wodociągowe, CO, kanały kablowe, napowietrzania i klimatyzacji. Część ścianek działowych wraz ze stolarką wewnętrzną została wykonana po wojnie. Niemcy nie mieli po prostu już czasu na skończenie i wyposażenie schronu, w lutym 1945 roku Poznań został wyzwolony. Jak wspomniałem już wcześniej, schron w okresie wojny nie został wyposażony w żadne urządzenia techniczne. Jest co prawda przekaz ustny, że mogła tu być zmagazynowana w częściach automatyczna centrala telefoniczna systemu Siemens, która po wojnie miała być przewieziona przez wojsko radzieckie do szczecińskiej dyrekcji kolei i tam uruchomiona jako centrala dyrekcyjna. Nie udało się jednak tej informacji choćby w części potwierdzić.

Zostały w pełni zrealizowane struktury podziemne sąsiadujące bezpośrednio ze schronem, w postaci studzienek kanalizacyjnych, komór cieplnych i kablowych oraz prowadzących do nich podziemnych tuneli.

Jest jeszcze pewien niewyjaśniony aspekt: możliwość łączności radiowej ze schronu. Nie udało się, jak na razie, ustalić, jakiego rodzaju miała to być łączność bezprzewodowa (radiostacja, radiolinia...?). Kluczem do rozwiązania tej zagadki jest widoczny na elewacji „wykusz antenowy" (fot. 9 – na poprzedniej rozkładówce). Jego kształty i wymiary

fot. rys. Bogusław Musielak

są wskazówką, jaka antena mogła być tam przewidywana. Nie udało się do tej pory znaleźć odpowiednika na innych budowlach tego typu. Konsultacje z „radiowcami starej daty" skłaniają do postawienia tezy, że chodziło raczej o łączność radioliniową z zastosowaniem anteny ramowej.

Powyższy artykuł jest skondensowanym tekstem powstałym na bazie większego opracowania opartego na wnikliwej analizie oryginalnych niemieckich planów budowlanych schronu z czasów wojny oraz na własnych badaniach terenowych i wizji lokalnej w samym schronie oraz jego otoczeniu. Trudno było oprzeć się na tekstach pisanych, gdyż takich brakuje. Pewne szczątkowe informacje udało się pozyskać z internetu oraz od byłych pracowników kolei na zasadzie nieautoryzowanego przekazu ustnego.

Na koniec podsumowania podkreślić należy, że kolejowa łączność działała niezależnie od innych rodzajów i środków łączności. Gdy Niemcy zostały pokonane w 1945 roku, łączność kolejowa w dalszym ciągu sprawnie funkcjonowała. Po wojnie niemiecki skrót BASA jako określenie węzła zastąpiono odpowiednikiem polskim KATS (Kolejowa Automatyczna Telefoniczna Stacja). Co ciekawe pracownicy kolejowi w potocznym języku określali elementy tej łączności słowem „bazowa". W większości nieświadomi byli pochodzenia tej nazwy: nie od słowa „baza", ale od podobnie brzmiącego „BASA".

Skany oryginalnych niemieckich planów schronu oraz współczesne fotografie są zamieszczone na stronie: http://cyryl.poznan.pl/kolekcja/812/schron-lacznosci-kolejowej.

Temat schronów BASA praktycznie do tej pory nie zaistniał w mediach. Obiekty takie musiały istnieć, chociaż niekoniecznie w nowo wybudowanych obiektach. Centrale mogły być instalowane w odpowiednio zaadaptowanych zwykłych budynkach po wzmocnieniu struktur budowlanych i odpowiednim wyposażeniu (pancerne drzwi i okiennice, urządzenia wentylacyjne, dodatkowe niezależne zasilanie energetyczne).

Bardzo liczę na odzew czytelników, szczególnie ze Śląska, Pomorza i Wielkopolski. Kontakt mailowy: musiel.bog@gmail.com.

Podziękowania:

Chciałbym szczególnie podziękować panu Januszowi Konopińskiemu, długoletniemu pracownikowi Pozaklasowego Odcinka Łączności Kolejowej Poznań Dyrekcja, za dostarczenie cennych informacji dotyczących łączności kolejowej.

Bogusław Musielak

Pasjonat i wieloletni badacz fortyfikacji XIX i XX-wiecznych. Współzałożyciel stowarzyszenia Porozumienie dla Twierdzy Poznań oraz współorganizator cyklicznej imprezy miejskiej Dni Twierdzy Poznań.

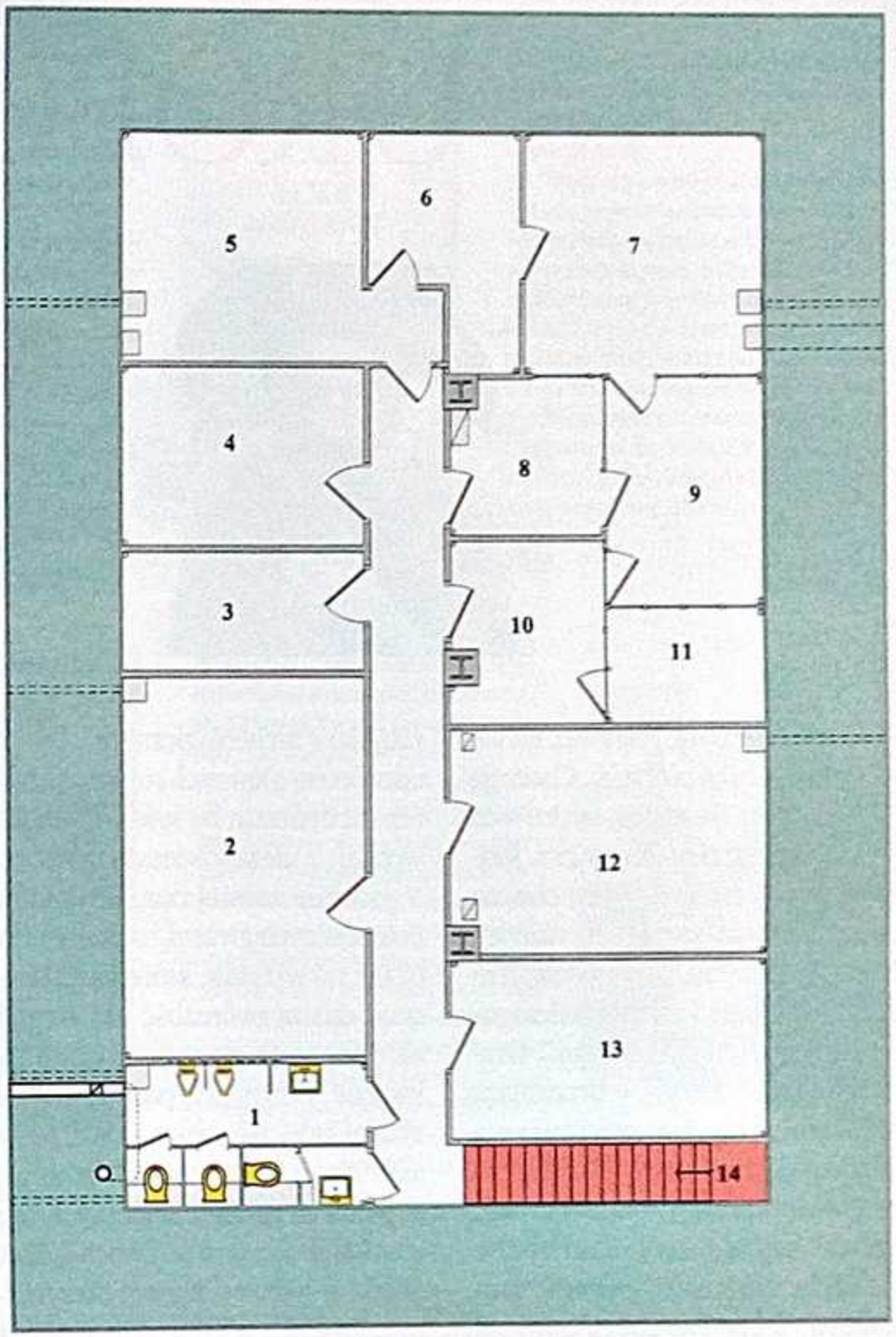

Rys. B.Musielak

rys. 7 Rzut drugiego piętra.

1 – WC damskie i męskie
2 – pokój narad
3 – pokój szefa łączności
4 – pokój dowódcy grupy szturmowej (ochrony ?)
5 – pokój wypoczynkowy (oczekiwania, socjalny ?)
6 – centralka telefoniczna na potrzeby lokalne
7 – biuro podawcze, rozdział przychodzących zgłoszeń
8, 9, 10, 11 – sekretariat z gabinetem dowódcy
12 – grupa transportu (kierowcy ?)
13 – pokój dowódcy transportu

PRZYPISY

[1] Poznańskie Zeszyty Fortyfikacyjne 2003/4 - Zbigniew Ingłot, „Betonowe giganty" cz. III

[2] TWIERDZA POZNAŃ, Jacek Biesiadka, Andrzej Gawlak, Szymon Kucharski i Mariusz Wojciechowski.

UROBOROS

RADOSŁAW BICZAK

EKSPLORATOR, POSZUKIWACZ, PODRÓŻNIK, AUTOR KSIĄŻEK. KOPANIE ROWÓW MELIORACYJNYCH I ZBIERANIE ZŁOMU NIE SĄ MU OBCE. DZISIAJ INSPEKTOR DS. OCHRONY ŚRODOWISKA NA DUŻYM KONTRAKCIE.

Ludzie szukając rozrywki, różnie zaspokajają potrzeby. Chadzają do kina, do teatru, cyrku – co tam komu w duszy gra. Jednak biorąc pod uwagę obecne trendy wielofunkcyjności w różnych dziedzinach życia, przystosowałem się do tego nurtu i zafundowałem sobie multispektakl „Uroboros". Grają taki na sali sądowej w Brzezinach pod Łodzią, i chociaż przedstawienia są dość nieregularne, to każde ma swój niepowtarzalny charakter. Widz nie wie, czy w danym dniu będzie świadkiem dramatu, komedii, groteski czy farsy. Ba, chyba sami aktorzy nie do końca to wiedzą, dlatego jest *smieszno i straszno*, chociaż czasami odnoszę wrażenie, że reżyserii w tych spektaklach jest niemało. Wszystko zaczęło się od słynnego filmiku wrzuconego na platformę internetową „YouTube", gdzie kilku kolesi robi sobie żarty, biegając z wykrywaczami po polach, nabijając się z samych siebie oraz wszystkiego dookoła, a przy okazji kopiąc w ziemi za fantami. Jak to z widzami bywa – jednym się podobało, innym nie. Komuś nie spodobało się do tego stopnia, że życzliwie poinformował odpowiednie służby o możliwości popełnienia przestępstwa. Służby rzecz całą wzięły sobie tak do serca, że w krótkim czasie nasi bohaterowie małego ekranu wzięli udział w dobrze znanym castingu do przedstawienia: „ Nielegalne poszukiwania zabytków archeologicznych". Dobór odtwórców głównych ról ma charakter specyficzny, bo łowcy talentów wpadają z niezapowiedzianą wizytą o godzinie szóstej rano do domów potencjalnych gwiazd, szukając przy okazji rekwizytów, które mogą ubogacić dalszą twórczość i zabierając aktorów na długie rozmowy kwalifikacyjne. W tym przypadku z rekwizytami było słabo: jakieś łuski, pusta skorupa granatu moździerzowego, kupiona na giełdzie, monety, które ktoś kolekcjonował od dwóch dekad, guziki wojskowe, bagnet otrzymany od rolnika w prezencie, a nawet eurocenty przywiezione z wypadu na wakacje do Włoch. Trochę słabo, ale dobry reżyser może się postarać, żeby zrobić z tego etiudę: „Zorganizowana grupa przestępcza". Żeby wszystko grało jak należy, reżyser korzysta z fachowej pomocy łódzkiej konserwator zabytków, która dostaje rolę prokuratora posiłkowego. Scenariusz wymaga podparcia – konieczne jest pozyskanie ekspertyzy biegłego, który zdecyduje o wartości, proweniencji i charakterze zatrzymanych rekwizytów. Fatalnie się składa, że w Łodzi nie ma biegłego sądowego tego typu. Nie jest ważne, że można wziąć zarejestrowanego biegłego sądowego z dowolnej części Polski. Ważne, żeby był archeologiczny autorytet. A takim autorytetem niewątpliwie jest pan doktor Piotr Nowakowski, którego pani konserwator zna jeszcze ze wspólnych studiów. Pan doktor Nowakowski zasłynął z prowadzonych na szeroką skalę badań na polach bitwy pod Grunwaldem, gdzie korzystając z pomocy rzeszy poszukiwaczy, pozyskał masę zabytków, wzbogacając muzeum bitwy. Pan doktor, po wnikliwej analizie dostarczonych dowodów, wycenia wszystko na podstawie aukcyjnych serwisów internetowych, określa, co jest czym (chociaż czasami przyznaje, że nie wie, co to za ustrojstwo), stwierdza, że przez brak odpowiedniej konserwacji zabytkowe przedmioty, bo większość ma charakter zabytkowy (np. takie pereł-ki jak skorupa granatu, opakowanie po maści firmy Bayer czy boratynki), uległy zniszczeniu. Pojawia się oczywista kwestia, że nie najważniejsza jest przecież wartość materialna, ale zniszczony bezpowrotnie kontekst etc. Wynika, że są winni. Tylko oskarżonym, którzy w międzyczasie nazwali się „Uroboros" nie podoba się scenariusz, że mają się przyznać. Powołują m.in. pana doktora na świadka. Chyba przed rozprawą nie przeczytał własnej opinii wystawionej półtorej roku wcześniej, bo dowiedziałem się, że kontekst nie jest najważniejszy! Liczą się przedmioty. Ba, skorupa granatu jest zabytkiem, tak samo jak łuski (czyli saperzy wysadzający towar na poligonach niszczą zabytki). Wszystko, co mamy w domach, może być zabytkiem. Sztuka „Uroboros" trwa i lepiej dla wszystkich, żeby nie przegrali. Jak coś macie, to piszcie: biczakrad@gmail.com.